Rok XXXVII Niedziela 3—10 sierpnia 1930 Nr. 31—32

GAZETA KOŚCIELNA

TYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KOŚCIELNYM

Prenumerata: Całoroczna 20 zł., — kwartalna 5 zł. Zagranicą 25 zł. Numer poj. 40 gr.
Cena ogłoszeń: Cała strona 110 zł., drobne po 60 gr. od wiersza petitu.

ORGAN STOWARZYSZEŃ KAPŁAŃSKICH W POLSCE.
Własność Tow. Wzajemnej Pomocy Kapłanów we Lwowie.
Redagują:
X. Dr. Aleksander Pechnik i X. Franciszek Błotnicki.

Redakcja i Administracja: ul. Ormiańska 13. Tel. 24-61.
Konto czekowe P. K. O. Warszawa Nr. 151.755
Rękopisów nie zwraca się.

O sceptecyzmie w najnowszej literaturze filozoficznej.

O sceptycyzmie można powiedzieć, że jest tak stary, jak ludzkość, ale przybiera coraz nową postać, wytwarzając bardzo różne poglądy filozoficzne lub pseudo-filozoficzne. Ponieważ bowiem nasze poznawanie prawdy napotyka na najrozmaitsze trudności i przekonywamy się często, że zdania nasze, które uważaliśmy za pewne, były całkiem błędne, ponieważ także ludzie, zresztą rozsądni, albo i uczeni, wypowiadają nieraz sądy sprzeczne o wielu rzeczach, dlatego nasuwa się niejednemu wątpliwość, czy wogóle prawda przedmiotowa jest dla umysłu naszego dostępna. Takie zdania sceptyczne znajdujemy już w najdawniejszej literaturze filozoficznej. Metrodoros z Chios zaczął dzieło swoje o przyrodzie (z którego zachowały się tylko urywki) od słów: „Żaden z nas nie wie nic, ani nawet tego, czy wiemy czy nie wiemy, ani wogóle czy coś istnieje, czy nie istnieje". Protagoras z Abdery głosił, że „człowiek jest miarą wszech rzeczy, istniejących, że są, a nie istniejących, że ich niema". Każda rzecz jest dla każdego taką, jaką się jemu wydaje. Istnieje tylko prawda w z g l ę d n a. Sceptykiem był także, a nawet nihilistą w filozofji, drugi z pomiędzy najsławniejszych sofistów: Gorgias, bo twierdził, że nic nie istnieje, a gdyby coś istniało, nie byłoby ono dostępne dla naszego poznania. Później wystąpili sceptycy: Pyrron z Elidy (około 360—270 r. przed Chr.), Ainesidemos z Knossos i inni.

Poglądy mniej lub więcej podobne napotykamy i w filozofji najnowszej, ale w tej występują one w postaci bez porównania poważniejszej, w formie badań głębokich, oryginalnych i nie mających prawie nic wspólnego z płytkim sceptycyzmem myślicieli starożytnych. Przed innymi zaś nie przestaje niestety dotychczas wywierać wpływu ogromnego na badaczy epoki ostatniej Kantowska „K r y t y k a c z y s t e g o r o z u m u", która miała zwalczyć sceptycyzm H u m e'a i utorować drogę dla nowej metafizyki, a jest w gruncie rzeczy nową odmianą sceptycyzmu. Kant bowiem stara się dowieść, że rozum nasz poznaje tylko własne swoje pojęcia, a nie jest dla niego dostępna żadna „rzecz sama w sobie", („Ding an sich") i wogóle nie wiemy, czy coś istnieje poza zakresem naszej świadomości, czy istnieje jakiś „świat transcendentny". Kant tego nie zaprzecza, — przeciwnie uznaje jako „postulat rozumu p r a k t y c z n e g o" wiarę w istnienie Boga i duszy nieśmiertelnej. Rozum jednak „czysty" nie ma żadnych na to argumentów i musi odmówić wszystkim dowodom na istnienie Boga, przyjętym przez filozofję klasyczną, siły przekonywającej.

Słyszałem przed laty z ust jednego z naszych profesorów filozofji twierdzenie, że to „nie j e s t s c e p t y c y z m"; ale pytam się, co mamy nazywać sceptycyzmem, jeżeli ta nazwa nie należy się doktrynie tej treści? Ona przyznaje prawo do wiary w Boga każdemu, kto nie chce się obejść bez tej wiary, ale jednocześnie ocenia ujemnie wszelkie dowody rozumowe, stwierdzające Jego istnienie. Wpływ tej krytyki widoczny jest w bardzo wielu pismach, które pojawiły się w ostatnich latach, a w szczególności w elukubracjach m o d e r n i s t ó w, którzy tak piszą w swoim „programie", ogłoszonym w Rzymie w r. 1908 (str. 97): „Trzeba przedewszystkiem uznać, że argumenty, przytaczane przez metafizykę scholastyczną dla udowodnienia, iż Bóg istnieje, wzięte z ruchu, z natury jestestw fizycznych i przypadkowych, ze stopni doskonałości i z celowości świata, straciły wszelką wartość"[1]. Są też i katolicy, którzy wyrażają się o tych dowodach sceptycznie na tej podstawie, że wielu niewierzących nie da się nimi przekonać.

Otóż prawdą jest, że te dowody nie dają nam pewności matematycznej, pewności tak oczywistej, żeby wszelką wątpliwość czyniły niemożliwą, ale kto dobrze rozważy i szczerze szuka prawdy, musi im przyznać siłę przekonywują-

[1]) „Bisogna anzitutto riconoscere che gli argomenti portati dalla metafisica scolastica per la dimostrazione di Dio ricavati dal moto, dalla natura delle cose fisiche é contigenti, dai gradi di perfezione e della teleologia dell, universo hanno perduto ogni valore" (cytat ten znalazłem w rozpr. X. dra W Kwiatkowskiego, zamieszczonej w „Kwartalniku Teol. wileńskim" z r. 1924, na str. 492). Dop. autora.

cą Filozofja jednak Kantowska usuwa samą nawet podstawę tym dowodom, mniemając, że poznanie świata rzeczywistego, istniejącego poza naszą świadomością, jest niemożliwe. Bo wszak napróżno będziemy wskazywali np. na celowość widoczną w ustrojach roślinnych i zwierzęcych, w dyspucie z człowiekiem, który widzi w tych ustrojach tylko nasze podmiotowe wyobrażenia!

Ta hipoteza stanowi główną treść t. zw. „filozofji immanentnej", którą ocenia krytycznie X. dr. Andrzej Krzesiński w książce swej p. n. „W obronie świata transcendentnego" (Poznań 1927)[2]. Filozofja ta nie uznaje żadnych bytów, niezależnie od świadomości istniejących. Głównymi jej przedstawicielami są: Schuppe, Schubert-Soldern i Rickert. Przyjmują oni obok świadomości indywidualnej jeszcze drugą „ogólną", pojmowaną całkiem abstrakcyjnie: ma to być świadomość, której nie posiada żadna istota na świecie. Obie te świadomości nie mówią nam nic o żadnych przedmiotach, istniejących w świecie rzeczywistym. Wszystkie zjawiska przyrody i prawa, które niemi rządzą, są tylko naszemi wyobrażeniami: kiedy np. człowiek się sparzy, dotknąwszy gorącego żelaza, nie dowiedział się przez to nic o żadnej „rzeczy samej w sobie", nie poznał działania ognia na żelazo i na ciało ludzkie, lecz może tylko stwierdzić następstwo pewnych wrażeń doznanych. Mamy wprawdzie pewność, t. zw. „pewność fizyczną", kiedy nietylko widzimy żelazo, ale także odczuwamy dotykiem jego działanie, że to nie są tylko nasze wrażenia i wyobrażenia: — ma tę pewność i filozof-immanentysta, ale on nie chce polegać na takiej pewności poziomej i z jego hipotezą niezgodnej.

[2]) Por. recenzję tej książki w „Gaz. Kośc." z r. 1927, 558 i nadto str. 581 i 602.

Pewne pokrewieństwo z tą filozofją „immanentną" widoczne jest także w t. zw. „empiriokrytycyzmie" Avenariusa, który chciał ograniczyć filozofję „naukową" do zbadania i ustalenia pojęcia „empirji"[3]). Wszelki byt sprowadza on ze względu na treść do wrażenia (czyli „czucia", jak inni tłumaczą niem. „Empfindung"), a ze względu na formę do ruchu. O jakiemś jestestwie „duchowem", rożnem od zjawisk materjalnych — nie można według Avenariusa nawet mówić logicznie.

Ernest Mach (którego głównem dziełem z zakresu filozofji jest „Die Analyse der Empfindung") uważa tylko zjawiska za istniejące; odrzuca on pojęcie substancji. Tak zwane „ciała" lub „rzeczy" są to tylko grupy wrażeń albo symbole, które tworzy sobie nasza myśl i które nie istnieją poza tą myślą. Nasza jaźń nie jest jednością realną, tylko praktyczną, jest wytworem wrażeń. W niej skupiają się nasze wrażenia, wyobrażenia, myśli, nasze wszystkie przeżycia. Niema więc żadnej duszy różnej od ciała i nieśmiertelnej!

Podobne pojęcie „jaźni" znajdujemy u innego, sławniejszego jeszcze filozofa nowoczesnego i autora obszernych dzieł, poświęconych logice, psychologji, etyce, psychologji narodów i t. d.

[3]) „Kritik der reinen Erfahrung" dwa tomy (Lipsk 1888 1890). „Der mensschliche Weltbegriff" (Lipsk, 2-gie wyd. 1905). Był on także redaktorem od r. 1877 czasopisma „Vierteljahrschrift fur wissenschaftliche Philosophie"

W katakumbach Aleksandrji i w Ziemi Świętej.

(Ciąg dalszy.)

Po godzinnym jeszcze postoju w zatoce smyrneńskiej — okręt nasz ruszył w dalszą drogę poprzez morze Egejskie ku wybrzeżom greckim, gdzie miał nazajutrz zawinąć do portu Pireusu. Pogoda była przepiękna, morze nadzwyczaj spokojne, więc też cały czas do późnego wieczoru spędziliśmy na pokładzie, rozkoszując się w blaskach południowego słońca, wdychając balsamiczny zapach jodu, soli i morskiej trawy, oraz opalając się na bronz. Minęliśmy w oddali jakąś wyspę Psarę i jak mię zapewnił mój socjusz, około północy wjedzie nasz okręt w grupę wysp Cyklad, które prawdopodobnie są pozostałością przedpotopową łańcucha górskiego, kiedyś złączonego z lądem stałym Grecji. Przed samym zmrokiem zauważyliśmy, że równolegle z naszym okrętem płynie cała masa ryb i to dość wielkich — niektóre okazy dochodziły do półtorametrowej długości. Były to delfiny. Delfin to ryba pełna inicjatywy i nadzwyczaj wesoła. Nie stosuje się nigdy do wymagań morza i nie reguluje swoich gestów zgodnie z jego wspaniałemi miarowemi falami. Między dwoma grzbietami fal przeskakuje ziejącą rozpadlinę, by się zanurzyć dopiero w fali następnej.

Co chwila widzimy, jak jeden za drugim wyprawia szalone skoki w powietrzu nad morzem — nieraz 6—8 metrowej długości, tak, że ma się zupełnie wrażenie, jakby sobie taki potwór wodny bujał w powietrzu. W czasie tych „ćwiczeń gimnastycznych" delfinów udaje mi się, ku wielkiej uciesze mojej i Greka, zdjęcie fotograficzne, — i to w chwili, kiedy jeden z najwspanialszych okazów szybował właśnie w powietrzu. Noc wreszcie zapadła — i my po raz czwarty od wyjazdu z Konstancy zasypiamy nad głębinami morskiemi.

Nazajutrz skoro świt budzi mię Grek okrzykiem, że za niecałe dwie godziny będziemy już w porcie Pireusu; widać już nawet brzeg Grecji. Spoglądam przez okienko okrętowe nad głową — i rzeczywiście w oddaleniu jakby przez mgłę przebija się ląd grecki.

Szybko przyprowadzamy toaletę swoją do porządku, przyczem Grek pakuje się ze wszystkiem, gdyż tutaj właśnie będzie kres jego podróży z Polski, znajduje się bowiem już u brzegów swojej ojczyzny. Czuję, że będzie mi bardzo przykro rozstać się z tak miłym i uprzejmym towarzyszem podróży, z którym się już bardzo zżyłem od czasu naszego wyjazdu ze Lwowa. Do tego dołącza się jeszcze i fizyczny ból, jaki zaczyna mi „porządnie" doskwierać w dziąsłach, wyleciała mi poprzedniego dnia przy kolacji plomba z zęba trzonowego. Ale na to doradza mi Grek, abym, mając przeszło 5 godzin czasu do

— Wilhelma Wundt'a. Według niego myśl da się sprowadzić do woli, bo „niema myśli bez wyobrażeń, niema wyobrażeń bez uczuć, niema uczucia bez woli"[4]. Przez „wolę" zaś rozumie Wundt tylko zjawisko, powstające w t. zw. świecie duchowym i rozwijające się dalej w uczucie, wyobrażenie i myśl. O jakichś „istotach", chcących czegoś, nie może być według niego mowy[5], przynajmniej w tem znaczeniu, w jakiem psychologja dawniejsza mówiła o duszy: są tylko popędy, w których zespalają się w nierozłączną całość wyobrażenie, uczucie i akty woli i z których rozwijają się inne wyższe, ale nie różniące się od nich specyficznie akty świadomości[6]. To zaś, co każdy nazywa swojem „ja", jest „organizacją duchową", złożoną ze zjawisk elementarnych, a identyczną z ustrojem cielesnym[7]. Sam jednak Wundt przyznaje, że te hipotezy noszą na sobie piętno „urojenia"[8]. (C. d. n.).

X. A. P.

Groźne przesilenie w naszem szkolnictwie i jego przyczyny.

Jeżeli przewrót, jaki spowodowała wojna światowa we wszystkich dziedzinach życia społecznego, postawił ludzkość wobec zagadnień, o których przed rokiem 1914 nikomu się nawet nie śniło, to zadanie, przypadające w tych warunkach do spełnienia Polsce, jest bez porównania większe, i trudniejsze. Polska, uwolniona ze 150-letniego jarzma niewoli, chcąc żyć, musi razem z innemi narodami stanąć w jednym szeregu do pracy nad założeniem fundamentów gmachu kultury przyszłości i stać się zdolną do tej pracy.

To, co dla innych narodów europejskich, rozwijających się pomału, a bez przerwy, jest już dziś czemś może przestarzałem, dla nas, przez półtora wieku ubezwładnionych, stanowi jeszcze poniekąd ideał.

Wśród różnych walk gwałtownych, jakie obecnie na wszystkich frontach toczymy, na pierwszy plan wybija się walka o nowożytną szkołę. Objawem jej są liczne w krótkim stosunkowo czasie pozakładane szkoły średnie. Mimo jednak konieczności pośpiechu w zakładaniu tych szkół, nie wolno nam było zapominać o zasadzie: „festina lente". Tymczasem stało się inaczej. Zapatrzeni w główny cel, którym było podniesienie kultury i pomnożenie inteligencji w narodzie, nie byliśmy dość oględni w wyborze nauczycieli. Byle założyć gimnazjum, t. j. wybudować, czy wynająć na ten cel jakiś gmach i byle tych gmachów było jak najwięcej, a już mniejsza o to, gdzie, w jakich warunkach i kto tam uczyć będzie! Żeby szkoła średnia mogła spełnić swoje zadanie, musi mieć odpowiednie środowisko, być dostatecznie zaopatrzona w pomoce naukowe i dysponować należycie przygotowanem do swego szczytnego zadania gronem nauczycielskiem. Tymczasem w znacznej ilości omawianych szkół warunki te przedstawiają się dość smutno.

[4]) „System der Philosophie". (Lipsk, 1889, str. 39.
[5]) ib. str. 41.
[6]) ib. str. 579.
[7]) ib. str. 389.
[8]) ib. str. 391 („einen imaginären Charakter").

---

odjazdu okrętu, pojechał z nim kolejką elektryczną do Aten, a tam on się postara już o to, że mi dentysta grecki „na poczekaniu" zaplombuje ząb...

Wprawdzie nie leżało w moim pierwotnym planie zwiedzanie w tym dniu Aten, — co odłożyłem sobie za miesiąc, kiedy to, wracając z Ziemi Św. i Egiptu, obrałem rutę powrotną przez Bałkan, zaczynając od Grecji — jednakowoż dokuczliwy ból zęba zmusił mię do przyjęcia słusznej propozycji Greka. Po przybiciu więc naszego okrętu do portu, który wił się wprost od najrozmaitszych okrętów większych i mniejszych, pochodzących z różnych stron świata, załatwiłem formalności paszportowe u władz policyjnych greckich i w pół godziny później mknąłem już ze swoim socjuszem „elektryką" do stolicy starożytnej Hellady.

Po złożeniu rzeczy Greka w jego mieszkaniu udaliśmy się natychmiast do dentysty w śródmieściu: był to Grek, mówiący dobrze po niemiecku, kończył bowiem dentystykę w Berlinie — i nie minęła godzina, kiedy opuściłem jego zakład wielce zadowolony z nową plombą w zębie, którą mi prawie bezboleśnie założył i to za cenę jednego dolara, t. j. 75 drachm greckich. Po załatwieniu się z dentystą — obiecał mi Grek udzielić nieco ogólnych informacyj o zabytkach starożytnych w Atenach, — na szczegółowe zaś oględziny zapraszał mnie gorąco za miesiąc, w którym to czasie miałem wracać z Ziemi Św. A więc zwiedziliśmy naprędce: ruiny świątyni Zeusa, kościół Dionizjusza Areopagity, Partenon, Akropolis z daleka i wiele innych zabytków, oglądanych z okien wozu tramwajowego czy autobusu. Po obiedzie, spożytym w domu Greka, zostałem przez niego odprowadzony do portu Pireusu i tam na pomoście okrętowym rozstaliśmy się nadzwyczaj serdecznie — z tem obustronnem zapewnieniem, że się spotkamy za miesiąc na tem samem miejscu, co przyrzekłem uprzedzić wysłaniem doń depeszy radjowej z okrętu.

Była może godzina druga popołudniu, kiedy siedząc na leżaku na górnym pokładzie i odmawiając brewjarz, zauważyłem nagle zbliżającą się w kierunku statku od strony portu większą grupę ludzi. Zdziwiło mię tylko, że w grupie tej przeważają ciemne, długie stroje — jakby sutanny księży... Ani mi przez myśl nie przeszło, żeby to mogła być polska pielgrzymka do Ziemi Św., gdyż według moich obliczeń i pierwotnego planu, ułożonego przez Komitet organizacyjny tej pielgrzymki, powinna ona była znajdować się w tym czasie na pełnem morzu Śródziemnem. Aliści widzę po zbliżeniu się tego orszaku, że wszyscy mają odznaki biało amarantowe na piersiach — na czele zaś kroczy poważnie znany mi już z Polski J. E. X. Biskup Okoniewski. Teraz już nie miałem żadnych wątpliwości, że była to w istocie ta pielgrzymka spóźniona. Wstałem, ażeby wyjść na jej powitanie, lecz widzę ze zdziwieniem, że w pewnej odległości od okrę-

Przypatrzmy się trochę bliżej, z jakich to jednostek składają się w znacznej części grona nauczycielskie w takich na gwałt po wojnie kreowanych gimnazjach polskich. Z powodu wielkiego popytu a małej podaży sił fachowych z uniwersyteckiem wykształceniem, angażowano na „profesorów gimnazjalnych“ kogo jeno się dało. Gdy jakiś niedowarzony akademik, niezależnie od tego, czy był słuchaczem filozofji, czy medycyny, nie wiedział, co ma z sobą zrobić, podawał się na nauczyciela do gimnazjum lub seminarjum i posadę bez żadnych trudności otrzymywał. Prawda, że później władze szkolne urządzały dla tych „pedagogów“ wakacyjne kursa „dokształcające“ i większość z nich pozdawała wkońcu egzaminy „zawodowe“, ale też i z powodu tych egzaminów utarł się u nas powszechnie frazes o „pedagogach z domowem wykształceniem“... Jeżeli społeczeństwo z przerażeniem dzisiaj spostrzega, że szkołę polską ogarniać poczyna martwota, — tym właśnie „wychowawcom“ zawdzięczać to potrzeba. Nie mając właściwego przygotowania a tem samem i pojęcia o trudnych, wzniosłych i wielce odpowiedzialnych zadaniach wychowawcy, tacy na prędce promowani „kierownicy“ ducha młodzieży, z pośród których wielu dzięki politycznym konjunkturom zdobyło nawet wyższe stanowiska w hierarchji szkolnej, silą się na co raz nowe i zarazem coraz tańsze koncepty pedagogiczne, by w ten sposób, mydląc oczy społeczeństwu, bezkarnie eksperymentować na żywym organizmie młodzieży. Instynkt jednak samozachowawczy ogółu polskiego już się odzywa. Co raz częściej biją dzwony na alarm i dają się słyszeć nawet ze stron najbardziej dotąd obojętnych głosy, że czas już najwyższy powołać do życia Naczelną Radę Wychowania Publicznego, „któraby“, jak powiada Il. Kur. Codz. z dn. 24 IV b r w N-rze 107 „umożliwiła właściwe ujęcie i zrealizowanie całokształtu zagadnienia oświatowego w kraju i położyła kres eksperymentom reformistycznym, niezgodnym z duchem narodu, z interesem naszej kultury i z cywilizacyjnem posłannictwem naszego państwa“.

„Zrzeszenia Kół rodzicielskich“, profesorzy uniwersytetów, wybitniejsi dyrektorzy szkół, łącząc swe głosy z naszym Episkopatem, stwierdzają, że szkolnictwo polskie zatraciło gdzieś hasła o religijnem i narodowem wychowaniu, że kosztem p r a w d z i w e j k u l t u r y d u c h a wysuwa się na pierwszy plan wychowanie fizyczne, materjalizm i utylitaryzm, które wywołują obawę o zdziczenie obyczajowe naszej młodzieży

Uprzytomniwszy sobie grożące zło, czas przejść od słów do stali czynów, czas przystąpić do reformy gruntownej „w głowie i członkach“ naszego szkolnictwa. Bez tej reformy Polska nie uzdolni się nigdy do pracy nad zakładaniem fundamentów pod gmach swojej przyszłości.

X. Antoni Lorens.

Dop. red. Tu warto jeszcze przypomnieć, że z każdym rokiem wzrasta liczba **ż y d ó w i ż y d ó w e k**, którym powierza się wychowanie naszej młodzieży! W szkołach powszechnych krakowskich uczy, jak nam stamtąd doniesiono:

katolików	mężczyzn	199;	kobiet	282
protestantów	„	1	„	1
żydów	„	23	„	17

---

tu zatrzymano wszystkich jej uczestników i ani na krok nie pozwalają im dalej się posunąć. Zapytuję kapitana okrętu, co to ma znaczyć? Dlaczego nie puszczają Polaków na okręt, podczas gdy pasażerowie innych narodowości swobodnie wchodzą na pokład? — Odpowiada, że Komitet organizacyjny tej pielgrzymki nie postarał się o załatwienie formalności paszportowych na lądzie, bez których wstęp na okręt jest surowo wzbroniony. Przyszło mi na myśl wówczas, że Komitet biura podróży Francopol widocznie nie spełnił dobrze swojego zadania, — bo jeśli już nie miał względu na prestige Polski, który zawsze cierpi z powodu tak niedbale spełnianego obowiązku podobnych organizacyj zagranicą — to powinien był to wykonać, chociażby z tej prostej przyczyny, że za przeprowadzenie tej pielgrzymki zebrał olbrzymią sumę (po 500 dolarów od osoby — uczestników zaś wszystkich było 97), więc zwykła sprawiedliwość nakazywała mu wywiązać się jak najlepiej z przyjętego na siebie obowiązku!

Niestety nie zauważyłem tego już przy pierwszem spotkaniu się z pielgrzymką, owszem byłem smutnym świadkiem na okręcie, jak wśród ironicznych uśmiechów i uwag różnych cudzoziemców, Polska Pielgrzymka Narodowa czekała przeszło 2 godziny opodal okrętu z coraz wyraźniejszym pomrukiem słusznego niezadowolenia jej uczestników, i byłaby Bóg wie, jak długo jeszcze tak czekała, gdyby jej nie wybawił z tej opresji X. Biskup Okoniewski, który porozumiawszy się telefonicznie z ówczesnym premierem greckim Venizelosem, uzyskał od niego nakaz, wydany władzom portowym w Pireusie, ażeby pielgrzymkę polską wpuścić natychmiast na okręt, bez robienia jej jakichkolwiek trudności z powodu niezałatwionych formalności paszportowych. Nareszcie po długiem i przykrem czekaniu weszli polscy pielgrzymi na pokład okrętu „Roda“ — co dla mnie było połączone z wielką radością, jako że zyskiwałem liczniejsze towarzystwo i to własnych rodaków, między którymi było wielu moich dawniejszych znajomych, a nawet jeden P T Kolega ze Lwowa, X. Dobija.

Po serdecznem przywitaniu się z większością uczestników pielgrzymki — zostałem zarzucony licznemi pytaniami, zadawanemi mi przeważnie przez nowicjuszów jazdy morskiej: czy była burza na morzu? czy chorowałem? czy okręt bardzo się kołysze i t. p.; uspokoiłem ich wszystkich stanowczem zapewnieniem, że w ciągu tych pięciu dni, które w znacznej części spędziłem na okręcie, czułem się zawsze wyśmienicie, apetyt mam nadzwyczajny, ani razu nie hołdowałem Neptunowi, a morze było stale jednostajnie spokojne

(C. d. n.) *X. Wł. Sz.*

W nielicznem gimnazjum w Śniatynie uczy trzech żydów i jedna młoda żydówka, która była w tym roku nawet profesorką matematyki w klasie ósmej!

W sprawie towianizmu.

(Dokończenie.)

Co się zaś tyczy etyki Towiańskiego, stawianej także bardzo wysoko przez jego wielbicieli, łatwo się przekonać po bliższem jej zbadaniu, że to, co w niej jest rzeczywiście godne pochwały, to wziął z etyki katolickiej; dodatki zaś jego własne są albo wymysłami fantastycznymi, albo też obniżają wymagania etyki naszej, czyniąc ją bardziej „przyziemną", mniej krępującą, wygodniejszą, a mianowicie przez „usunięcie ascetyzmu", które p. Pigoń poczytuje mu za wielką zasługę: „Ofiara bowiem" — czytamy w „Wyborze pism" i t. d. na str. 21 — „nie powinna się zwracać przeciwko ciału, nie powinna go niszczyć, owszem wzmacniać je i przetwarzać. Towiański wielokrotnie mówi o godziwości rozrywek, zabawy, posiłku etc., o potrzebie unikania ponurości zakonnej, Bogu służyć należy w radości, pogodnie i całą istotą". — Ależ o „radośnej" służbie Bożej mówią też katolicy — i bezporównania lepiej niż Towiański (że tylko przypomnimy wyborną książkę biskupa Kepplera p. n. „Mehr Freude"): żaden też prawdziwie pobożny zakonnik nie bywa „ponurym"; bez „ascezy" jednak, bez powściągania pożądliwości niema postępu w cnocie. Umartwienia zaś roztropne, umiarkowane posty wcale ciała nie „niszczą", ale raczej przyczyniają się do jego zdrowia.

Zresztą kwestja cnotliwości Towiańskiego jest dosyć niejasna i zagmatwana. Poruszył ją w ostatnich czasach na nowo Boy-Żeleński w kilku artykułach, które wydał zebrane razem w książce swej p. n. „Bronzownicy" (Warszawa 1929. Tow. Wydawnicze „Rój", stron 271), wywołując żywą dyskusję. Faktem jest, że w kołach emigracji polskiej, przebywającej w Paryżu, rozszerzyła się opinja o „mistrzu" ujemna. X. Semenenko w relacji swojej o „błędach towianizmu" podnosi, że jedną z cnót zasadniczych katolickich jest czystość; natomiast według Towiańskiego (mówi) niema nic złego w naszej naturze. Zło przychodzi z zewnątrz, z kolumn ciemnych. „Pożądliwość tedy, która jest w naturze naszej, nie może być zła. Więc i iść za nią nie będzie grzechem" (cyt. przez Boya na str. 112). Komierowski w broszurze swojej p. n. „Moje stosunki z Towiańskim i towiańczykami" pisze po rozstaniu się z nimi: „Poznałem wewnętrzne życie braci, a zarazem wiele dziwactw, kłótni i skandalicznych zboczeń, a choć te mają wielki związek z zasadami i często są skutkiem ich fałszywości, jednak przytaczać ich nie będę, raz że są historją ludzi żyjących, po wtóre że bracia mają się za ludzi; niech więc ten, co jest bez grzechu, ciska kamień, ich prywatne życie przesądza" (Boy, str. 111).

Żona zaś Komierowskiego opowiada o swojej rozmowie z Towiańskim (z d. 21 kwietnia 1853) pewne szczegóły bardzo go kompromitujące [1]).

[1]) Ustęp ten przytacza Boy l. c. str 191 n.

Straszył ją, że „jeśliby kiedy, broń Boże, przeniewierzyła się Sprawie świętej, będzie nielitościwie nawiedzana i szarpana przez duchy, a jeśli tych męczarni ciało jej nie wytrwa, umrze, aby się znów odrodzić koniem, psem lub jeszcze czem gorszem".

„Napoleon I" — mówił dalej — „jest adwokatem sprawy świętej w niebie, czyli że wszystkie interesa dotyczące jej on Panu Bogu przedstawia, z Nim też bezpośrednio ma nieustające stosunki. Drugim takim opiekunem jest Kościuszko: ten jako Polak więcej kocha kraj swój i wpływem swoim więcej jeszcze dla sprawy naszej otrzymać może. Słuchając tych wszystkich bredni, mimowoli przychodziło mi do głowy, jak mógł ten człowiek porywać ludzi tak wielkich i niepospolitych, jak Mickiewicz... Mówiąc o małżeństwie mojem, nadmienił, że z powodu wielkiej różnicy wieku między nami, uwalnia mnie zupełnie od wierności małżeńskiej, której zresztą ani Pan Bóg, ani Kościół od nikogo nie wymaga; mam tylko uważać, aby duch wybranego był czysty — i to powiedziawszy, zrobił krzyż na mojem czole, „Absolvo te" dodając i gorący pocałunek na mojej twarzy złożył. Wyszłam więcej jak oburzona, z silnem postanowieniem nigdy już więcej nie wracać, nawet jeśli mąż koniecznie tego żądać będzie".

Pamiętnik Komierowskiej czyni wrażenie zupełnej szczerości i nie mamy powodu do przypuszczenia, że autorka chciała zniesławić Towiańskiego przez rozszerzanie jakichś wymysłów kłamliwych. A przecież nietylko zacietrzewieni jego zwolennicy, ale nawet Kallenbach w książce swej p. n. „Towianizm na tle historycznem" odrzuca świadectwo Komierowskiej, twierdząc, że relacja ta odrazu musiała się wydać „co do wiarogodności wątpliwą", skoro redakcja „Bluszczu" (w którym pamiętnik ten był drukowany po raz pierwszy w r. 1899) ustęp ten opuściła. Na tej jednak podstawie nie można n. zd. powątpiewać o prawdziwości opowiadania autorki. Na to trzebaby najpierw dowieść, że Towiański zawsze potępiał wszystkie grzechy przeciw szóstemu przykazaniu i poglądy zwolenników „wolnej miłości". A tymczasem różni ludzie mieli jakieś powody do posądzania go, że i jemu podoba się to hasło. I tak ogłaszając „Wspomnienie o Andrzeju Towiańskim" rejenta Wołodki [1]), tyczące się jego nauki (z epoki wileńskiej), która głosiła (według powszechnej opinji wilnian) „wspólność kobiet", cytuje prof. Mościcki ten ustęp z pamiętnika Komierowskiej, rzucający (jak sądzi) „ciekawe światło na poglądy Towiańskiego w sprawie wolnej miłości".

Obrońcy „mistrza" czerpią swoje argumenty z pism jego własnych i jego wielbicieli, odrzucają zaś wszystko, co opowiadają inni o nim ujemnego, jako „plotki całkiem niegodne wiary", albo też tłumaczą to po swojemu według własnej ideologji. Warto tu np. zd. n. przytoczyć, co pisze p. Andrzej Boleski w „Wiadomościach Literackich" (nr. 2 z r. b.) przeciw zarzutom Boya:

„Boy przywiązuje wielką wagę do zarzutów na temat rzekomego erotyzmu towiańczyków. Otóż z pewnością byli między nimi i tacy, co się kochali

[1]) „Wspomnienie" to ogłosił prof. Mościcki w „Bibljotece Warszawskiej" w r. 1907. Według Wołodki „w nauce Towiańskiego, za czasów wileńskich, była też zasada wspólności kobiet, która podniosła krzyk przeciw nowatorom. Opowiadano na ten temat mnóstwo skandalicznych anegdotek" i t. d.

i przeżywali związane z miłością rozkosze i udręczenia... Żadna idea im tego nie broniła. Towiański nie głosił bynajmniej ascezy w znaczeniu średniowiecznem. O miłości, erotyzmie i małżeństwie znajdują się w jego pismach bardzo znamienne uwagi. Ich zasadniczym celem jest utrzymanie naczelnej zasady harmonji między duchem i ciałem, cechuje je baczność na to, aby się ciało z żadnych powodów ciężarem nie stało i przeszkodą do życia w pełni i jedności. Ich dążność i wartość moralna w tem, że chronić mają od przedostania się elementu erotycznego („magnetyzmu“) do spraw duchowych. Gdyby się więc nawet jakiekolwiek wybujałe objawy erotyzmu wyśledzić dały wśród towiańczyków, nigdy nie będą one płynęły z zasad głoszonych czy tolerowanych, będą owszem zawsze bezwzględnem zaprzeczeniem idei i charakteru zarówno osobistego (Mistrza), jak ogólnego (Sprawy). I zawsze spotkają się z najżywszem napiętnowaniem ze strony Towiańskiego. Tak było w wypadku Xawery Deybel, tak i w innych, co widoczne z rad i oświetleń, zawartych w t. zw. notach z rozmów“ i t. d.

Obrona ta etyki towiańczyków niebardzo jest jasna i trochę wykrętna, ale jej sens jest zapewne taki, że pojęcia ich o czystości i występkach jej przeciwnych różniły się znacznie od „średniowiecznych“ czyli katolickich: wolno im było zażywać rozkoszy miłośnych, byleby tylko te prądy „magnetyczne“ „nie przedostawały się do spraw duchowych“ i nie wywoływały w nich zamętu. Według tych pojęć mógł Towiański zezwalać także bez skrupułu na złamanie wiary małżeńskiej, ale nie głośno i publicznie. I z tego, co opowiada Władysław Mickiewicz o towiańczykach, można się domyślać, że dużo w ich kole działo się złego, ale relacja jego jest mglista i całkiem ogólnikowa, bo nie chce on całej odsłonić prawdy: „Hetmanić dalej stało mu się niemożebne“ (t. j. jego ojcu), „ponieważ niektórzy bracia sami popełniali nadużycia, gorzko wymawiane przez nich duchowieństwu, udawali egzaltację, nakazywali innym praktyki podobne do demonstracji dzisiejszych salutystów; co gorsza, narzucali się innym, naruszali wolność domowego ogniska... Obiecana swoboda zamieniała się w upokarzające jarzmo“... Towiański łagodzi Adama (pisze dalej): „Zostaw, bracie, powiada mu, siostra Anna (Gutowa) może być bardzo grzeszną, inni także, ale ty, bracie, cudzemi grzechami się nie zajmuj, bo masz swoje“. Wkońcu Adam zerwał z Towiańskim, chociaż nie wyparł się go zupełnie, ale związki z nim rozluźniły się bardzo, co także nie przemawia na korzyść jego „mistrza“. *X. A. P.*

Swięty Augustyn w walce z heretykami.

(Ciąg dalszy.)

W mowie 46, w której wyjaśnia 34 rozdział pro roka Ezechjela (M. 38, 278), zachęca gorąco kapłanów, by szukali pilnie zgubionych owiec Chrystusowych. On osobiście nie myśli się zrażać żadnemi trudnościami w tej pracy i nawet wbrew woli obałamuconych szukać będzie gorliwie ich zbawienia. Więcej bowiem obawiać się musi sądu Boga, który nakazuje błądzących poprawiać, aniżeli gniewu tych, którzy w ślepocie swej pragną dalej trwać w błędzie i zgubić swą duszę.

Jakie uczucia ożywiały serce Augustyna względem upartych donatystów, z którymi przez długie lata musiał walczyć w obronie prawdy katolickiej, wynika najlepiej z jego przemówień, jakie miał do katolików w Kartaginie w r. 411 przed słynną w historji dysputą z donatystami. Brało w niej udział 286 biskupów katolickich, a 279 ze schizmy Donata. Przemówienia te można uważać za wzory kazań o tolerancji chrześcijańskiej. Dla charakterystyki Augustyna przytoczę pewne wyjątki z mowy 357 (M. 39, 1582 6). Przedewszystkiem uważa on donatystów za chorych na oczy, nic więc nie widzi dziwnego w tem, że nie mogą odrazu znieść pełni światła. Trzeba najpierw za wszelką cenę nawet wbrew ich woli uleczyć ich oczy, a po wyleczeniu cieszyć się będą z odzyskanego wzroku i widoku światła.

Następnie pisze tak: „Upominam was, moi kochani, abyście się do donatystów odnosili z łagodnością, jak przystało na chrześcijan i katolików. Mamy ich teraz leczyć. Ich oczy są zapalone. Ostrożnie więc należy przystąpić do ich uleczenia. Niech nikt z was nie wdaje się z nimi w spory. Jeśli posłyszysz obelgę, przejdź mimo, udaj, że nie słyszysz... Zaprzestaj kłótni, a zabierz się do modlitwy! Niech ona będzie twą zemstą za zniewagę ci wyrządzoną“.

W dalszym ciągu zachęca Augustyn wiernych do postu na intencję zgody z donatystami i do jałmużn, by modlitwy Kościoła były prędzej wysłuchane.

W całej tej sprawie chodzio mu jedynie o to, by zwycięstwo odniosła prawda. „Nam non vincit nisi veritas, victoria veritatis est charitas“ (1586).

Słusznie zatem z tych i tym podobnych powiedzeń Augustyna wnioskuje Romeis (str. 122), że tylko ten może tak przemawiać do innowierców, kto ich prawdziwie kocha i szuka z nimi prawdziwego pokoju i zgody.

ROZDZIAŁ VIII.

Przymuszanie heretyków do przyjęcia wiary katolickiej.

Stosunek Augustyna do schizmatyków oparty był, jak widzieliśmy powyżej, na prawdziwej miłości chrześcijańskiej. Nią kierował się w całem swem życiu, do niej zachęcał ciągle swych wiernych. Jego cierpliwość, posunięta do granic ostateczności, zmierzała do jednego celu, a mianowicie do odzyskania utraconych owieczek i do uratowania ich przed potępieniem. Był on bowiem głęboko przekonany o tem, że świadomi heretycy nie mogą osiągnąć zbawienia poza Kościołem katolickim. Cel ten pragnął jednak uzyskać zgodnie ze swem najgłębszem przekonaniem środkami łagodnemi, jak przemówieniami, dysputami, rzeczowemi argumentami, bez użycia przymusu fizycznego (Ep. 93; M. 33, 330; En. in Ps. 33; M. 36, 311). Przy tegoż pomocy Kościół może, coprawda, powiększyć liczbę swych wyznawców, lecz będą to zazwyczaj konwertyci obłudni, którym nie zależy na zmianie poprzednich błędnych zapatrywań i gorszącego życia.

Ponieważ Augustyn wiarę uważa za dar Boży (de praedest. sanctorum; M. 44, 972), dlatego też uważa za rzecz niewłaściwą zmuszać kogoś do wiary (contra litteras Petiliani; M. 43, 315). Podobnie pisze w liście 23, skierowanym do biskupa donatystów Maksymina. Oświadcza w nim wyraźnie, że nie należy nikogo przymuszać do jakiejkolwiek społeczności religijnej, prze-

ciwnie, każdemu należy dać możność i potrzebny spokój celem zbadania prawdy. Tak donatyści jak katolicy powinni spokojnie przedstawiać swe poglądy religijne, odwoływać się do rozumu i do argumentów z Pisma św., a nigdy do siły fizycznej (M 33, 97 n.).

O swem pierwotnem stanowisku w tej sprawie wspomina Augustyn w liście do biskupa Wincentego (Ep. 93; M 33, 330; por. Retract. II, 5; M. 32, 632).

Był on więc wielkim optymistą w kwestji nawracania heretyków; wierzył początkowo, że prawda sama, bez używania środków przymusowych, zwycięży. Myślał, że przez publiczne dyskusje z donatystami potrafi ich biskupów przekonać, a za ich pośrednictwem uwiedzionych do Kościoła sprowadzić. Pokazało się jednak zczasem, że wszelkie próby i wysiłki jego, zmierzające do nawrócenia donatystów, spełzły na niczem. Ci nie chcieli pokojowego załatwienia sprawy i usunięcia schizmy z Afryki, lecz umyślnie i w obawie moralnej porażki zamykali umysł i serce przed prawdą. „Nie chcemy dysputować“, powiadali Augustynowi, „lecz chrzcić powtórnie“.

Otóż pod wpływem smutnego doświadczenia z upartymi zmuszony był Augustyn zmienić swe teoretyczne stanowisko co do wolności sumienia w sprawie religijnej i przystosować się w praktyce do odmiennego poglądu większości episkopatu katolickiego w Afryce. Zdaniem jego kolegów na urzędzie biskupim nie należało bawić się w dysputy z przewrotnymi i upartymi donatystami, lecz przy pomocy władzy świeckiej zmusić ich do uległości prawdziwemu Kościołowi. Wskazywali mu przytem na pomyślne skutki kar państwowych, zastosowanych przez władze świeckie względem odszczepieńców. Pod ich wpływem całe prowincje, zalane przez donatystów. wróciły do jedności kościelnej. Ponieważ wkroczenie władzy świeckiej, dokonane na prośbę episkopatu katolickiego a na podstawie rozporządzenia cesarza Honorjusza I, dotyczącego jedności wiary katolickiej (Romeis 134), przyniosło błogie dla Kościoła owoce, a mianowicie usunięcie długoletniej schizmy, przeto nic dziwnego, że Augustyn zmienił swój teoretyczny punkt widzenia w sprawie nawracania donatystów i znalazł się ze względów praktycznych w obozie swych kolegów. Kiedy zaś wszedł w ich szeregi, nie pozostało mu nic innego jak uzasadnić zmianę swego stanowiska także z punktu teoretycznego. Uczynił to głównie w listach 93 i 185, a nadto 89, 101, 105, 133, 134, 139, 173. Poza tem znajdujemy różne uwagi, dotyczące tej sprawy, w jego mowach i wyjaśnieniach psalmów, np. Sermo 46, 112.

Zmieniony pogląd jego na sprawę przymusowego nawracania donatystów, a tem samem i wszystkich wogóle heretyków, przedstawić można w krótkości na podstawie wymienionych wyżej pism następującą argumentacją.

Przedewszystkiem użycie siły władzy państwowej ze strony katolików przeciw donatystom nie jest niczem innem jak tylko sprawiedliwą samoobroną z konieczności. Donatyści muszą coprawda cierpieć skutkiem tego przykrości ze strony władzy świeckiej, lecz są one tylko małą pokutą za dokonane przez nich na katolikach zbrodnie. Katolicy nie walczą zresztą samą tylko siłą o sprawę Bożą, bo powracającym do Kościoła podaje się dowody, przemawiające za prawdziwością nauki katolickiej. Augustyn wie o tem doskonale, że lepiej jest ludzi do Boga doprowadzać miłością niż bojaźnią kary, lecz z tego, zdaniem jego, nie wynika bynajmniej, by nigdy wogóle nie stosować wobec nich środków przymusowych. Na lepszych wpływać można miłością, na poprawę jednak większej ilości ludzi skuteczniej oddziaływa bojaźń kary. Wszak sam Mędrzec Pański zachęca do użycia kar względem krnąbrnego dziecka (Prov. 13, 24; 23, 14; 29, 19).

Jeśli o zdrowie powinno się dbać nawet wbrew woli chorego, to tem więcej należy starać się o zdrowie jego duszy i o jej wieczne zbawienie. Jeśli donatyści przymusali katolików do zguby, to dlaczegożby Kościół przy pomocy władzy świeckiej nie miał ich zmuszać do jedności w wierze, a przez to samo do zbawienia?

Na poparcie swego zapatrywania, że książęta mogą i powinni karać błędnowierców i przymuszać ich do prawdziwej wiary, Augustyn powołuje się na Pismoś w. tak Starego jak Nowego Testamentu. I tak w psalmie 71, 11 czytamy przepowiednię, odnoszącą się do Chrystusa i Jego królestwa na ziemi: „Et adorabunt eum omnes rege sterrae, omnes gentes servient ei“. Widać z niej, że książęta ziemscy mają swą władzę oddać na usługi Pana, a tem samem Jego Kościoła na ziemi. W psalmie 2, 10 wzywa znów psalmista królów ziemi, by służyli Panu w bojaźni; ponieważ służyć Bogu przez zachowanie Jego przykazań są obowiązani wszyscy bez wyjątku, dlatego obowiązkiem książąt jako władców narodów jest ponadto czuwać nad zachowaniem tychże przykazań przez swych podwładnych i karać za ich przekroczenia.

W Starym Testamencie Bóg posługiwał się władcami tak żydowskimi jak pogańskimi, by wyjednać posłuch dla swych przykazań wśród żydów. Tylko twardym biczem mógł ich powstrzymać od złego i odwieść od bałwochwalstwa. Nie każdy, kto oszczędza drugiego, jest jego przyjacielem, ani kto chłosta, jest przez to jego nieprzyjacielem (Prov. 27, 6). Bóg nas kocha niewątpliwie, a jednak w dobroci Swej nie przestaje nas chłostać.

(C. d. n.) *X. Piotr Stach.*

O należny honor dla nauki religji.

Może jakiemuś indyferentowi zdawać się, że upominamy się o drobiazgi, może ktoś nazwać to przesadną gorliwością czy t. p.

Jednak nie możemy tolerować spokojnie, by religję przyuczano się u nas traktować jak kopciuszka.

Oto zakończenie roku szkolnego nasunęło mi znów nowy szczegół do poruszanego już tematu. Drobiazg — ale charakterystyczny.

Mało było: 1) obciąć naukę religji w szkołach dokształcających zawodowych do ostatecznego minimum, 2) usunąć w tych szkołach w egzaminach dla eksternów zupełnie naukę religji, — jeszcze posunięto się do zewnętrznego „kopnięcia“ nauki religji, jako przedmiotu, przez zepchnięcie jej na.. piąte miejsce na świadectwach.

Weźmy do rąk ostatnie formularze świadectw ukończenia publicznych szkół dokształcających zawodowych [Drukarnia Państwowa Nr. 46.752 z 21 czerwca 1929]!

Widzimy tam zestawienie przedmiotów j. n.:

1. Rysunki odręczne, geometryczne i zawodowe,
2. Materjałoznawstwo,
3. Fizyka przemysłowa,
4. Technologja zawodowa,
5. Religja...

Być może, że dla jakiegoś tam kalwina jest to drobiazg lub... „całkiem w porządku". Dla nas jest to postponowanie nauki religji.

My — w katolickiej Polsce — żądamy należnego respektowania nauki religji!

Obecnie zwłaszcza, gdy na stanowisku wiceministra W. R. i O. P widzimy księdza katolickiego, żądamy tego tem śmielej. I apelujemy do X. Wiceministra Żongołłowicza, by tępił te naleciałości indyferentyzmu czy sekciarstwa konsekwentnie i nie dopuszczał do różnych „przeoczeń", gdy chodzi o naukę religji.

Bo my nie przestaniemy szturmować o należny honor dla nauki religji, która w całokształcie wychowania szkolnego wiedzie prym i doniosłością objektywną swego przedmiotu i znaczeniem swem na terenie młodych dusz. *X. H. Weryński.*

W sprawie ubiorów nieprzyzwoitych.

O przykrej tej sprawie pisaliśmy już nieraz, ale trzeba do niej od czasu do czasu powracać. Oto i teraz z nastaniem dni ciepłych i pogodnych, snują się dziewczęta i inne niewiasty młode po ulicach nieprzystojnie odziane, a nawet ośmielają się tak wchodzić do kościołów, bo niema u nas szwajcarów, jakich mają Francuzi i Niemcy w większych miastach, którzyby takie osoby wypraszali! Piętnuje się wprawdzie często ten bezwstyd z ambony, ale cóż — kiedy te osoby na kazania nie chodzą, tylko pokazują się w czasie Mszy cichej — i to często ze znacznem spóźnieniem. Wobec tego byłoby najpierw rzeczą bardzo pożądaną, żeby przynajmniej od czasu do czasu posłyszały coś o tych strojach w czasie Mszy, odprawianej o ósmej, dziewiątej, dziesiątej lub ostatniej w niedziele i święta. Nie wszystkie zapewne zdają sobie należycie sprawę z tego, jaki grzech popełniają, stosując się do mody dzisiejszej, — dlatego dziwią się bardzo, gdy im to się wytknie. Zdarzyło mi się np. dwa razy, że kiedy nie dałem Komunji świętej niewiastom młodym, u których zauważyłem zbyt głębokie wycięcie sukni pod szyją, wygadywały potem w zakrystji z wielkiem rozżaleniem, że była to dla nich kompromitacja całkiem niezasłużona, a jedna nawet zapewniała, że jest „Sodaliską Marjańską" (czyżby wśród moderatorów sodalicji znajdowali się i tacy, którzy nie piętnują obnażania piersi?). W jednem zaś z większych miast polskich zdarzyło się niedawno, że do bierzmowania przyszła dziewczyna całkiem nieprzyzwoicie ubrana, a kiedy X. Biskup kazał ją usunąć i powiedział, że w takim stroju nie powinna była nawet przyjść do kościoła, zauważył, że obecne przytem panie słuchały tych słów jego z widocznem zdziwieniem, jakgdyby to była rzecz dla nich nowa!

Trzeba więc — rozumie się oględnie — wspominać o tych modach od czasu do czasu, a także o strojach b a l o w y c h, które może najwięcej narobiły złego. Dobrzeby było, gdyby kazdy z nas kapłanów dawał ludziom przy sposobności wyraźnie do poznania, co chrześcijanin powinien o tych strojach sądzić i żeby nie wchodził do domów, gdzie one są w zwyczaju. Przed laty czytaliśmy w dziennikach, że kiedy sławny kardynał Lavigerie przyjechał do jednego z domów arystokratycznych francuskich, przyjęła go w przedpokoju gospodyni, przepraszając go z pewnem zażenowaniem, że spotka u niej damy w strojach zastosowanych do mody panującej. Na to odpowiedział kardynał z dobrotliwym uśmiechem: „Ależ ja wracam z Afryki, więc jestem do takich ubiorów przyzwyczajony!" — Był to dobry dowcip, ale może kardynał byłby zrobił jeszcze lepiej, gdyby był zrezygnował z wizyty, oświadczając, że nie wypada mu bywać w salonach, gdzie takie obnażenia są tolerowane! Podobne słowa mogą przemówić do sumienia niejednej matce i córce, którym się zdaje, że ta moda nie musi obrażać moralności, kiedy tu i owdzie najpoważniejsi księża przeciw niej nie występują, a najwyżej postawieni katolicy świeccy, monarchowie (jak np. Franciszek Józef) każą w takim stroju pojawiać się na zabawach dworskich... *X. P.*

Nauczyciel-sekciarz przy pracy.

(Z numeru „Polski" z 13 lipca r. b.).

Katolicka Ajencja Prasowa otrzymała od X. proboszcza parafji Rudułtowo, pow. Kutnowskiego pismo z dnia 10 b. m. następującej treści:

— Do Katolickiej Ajencji Prasowej w Warszawie. W dniu 7 lipca r. b. zostało wystosowane do Kuratorjum Szkolnego Okręgu Warszawskiego na ręce p. Inspektora szkolnego w Kutnie drugie podanie podpisane przez ludność Rudułtowa, Rycerzowa i innych przeciwko p. Wacławowi Woźnickiemu, nauczycielowi publ. szkoły powsz. w Rudułtowie, pow. kutnowskiego. Podpisani powtórnie stwierdzają wywrotową, antyreligijną działalność p. Woźnickiego w szkole i poza szkołą, która wywołuje stale zamęt pośród tutejszej ludności na tle religijnem. Ludność jest bowiem katolicka, a p. Woźnicki usiłuje jej narzucić przekonania sekty badaczy Pisma św., do której sam należy.

Znane są powszechnie na terenie tutejszym jego poszczególne wystąpienia przeciwko praktykom religji katolickiej. Mianowicie, kiedy Jan Banasiak, rolnik z Rudułtowa przechodził koło krzyża, stojącego obok szkoły i uchylił czapki, p. Woźnicki wobec innych drwił z niego, mówiąc:

— Idzie bałwochwalca.

Władysława Pawłowskiego z Rudułtowa, idącego z dziećmi do kościoła na nabożeństwo różańcowe w październiku r. ub., zaczepił na drodze p Woźnicki i odradzał wobec dzieci chodzenia do kościoła jako zmarnowania czasu. W styczniu r. b. p. Woźnicki przyniósł do domu Wł. Nykla w Rudułtowie stos książek heretyckich i pomimo protestu gospodarza czytał je wobec dzieci i namawiał do przyjęcia sekty badaczy Pisma św. Do Józefa Podlasiaka, sołtysa z kolonji Rdutów, wyrażał się p. Woźnicki, że Kościół katolicki jest „karczmą, w której żeruje duchowieństwo".

O tem wszystkiem rozprawiają nietylko starsi, ale i dzieci biorą żywy udział, co fatalnie odbija się na ich wychowaniu. To też podpisani wyrażają nadzieję, że Kuratorjum Szkolne zainteresuje się tą sprawą, przeprowadzi bezstronne śledztwo i uwolni nareszcie tutejszą ludność od niepożądanego apostoła Jednocześnie podpisani protestują przeciwko takiemu śledztwu, jakie było prowadzone przez p. Inspektora Szkolnego z Kutna, które uważają za jednostronne, gdyż ze starszych były wzywane i badane osoby wskazane i przedtem odpowiednio urobione przez p. Woźnickiego, osoby nie cieszące się dobrą opinją u ogółu. *X. Wł. Marcinkowski.*

W sprawie powyższej już zabieraliśmy głos, zwracając uwagę władz szkolnych na niedopuszczalne tolerowanie nauczyciela, który zamiast uczyć i wychowywać, demoralizuje młodzież, szerzy sekciarstwo i wywołuje ogólne zgorszenie.

Kuratorjum Warszawskie ponosi całkowitą odpowiedzialność za powyższy stan rzeczy.

W sprawie oddzielnych wakacyj dla mężów i żon.

(Artykuł godny uwagi w „The Universe").

Z nastaniem letnich wakacyj odzywają się tu i owdzie zdania, że mężowie i żony powinni rozłączyć się na pewien czas i spędzić swoje dni wolne osobno dla przerwania jednostajności życia małżeńskiego.

„The Universe" zwrócił się do p. Józefa Degen'a z zapytaniem, jakie jest jego zapatrywanie w tej kwestji. P. Degen pozyskał szeroką sławę z powodu trafności swoich uwag i spostrzeżeń. Ten na pytanie: „Czy mężowie i żony mają spędzać wakacje osobno?" odpowiedział stanowczo „nie". Wykazuje niebezpieczeństwo tego „ostatniego bzika" i mówi: „Musimy sprzeciwiać się wszelkim zwyczajom, które dążą do zastąpienia pogańskim trójkątem męża, żony i przyjaciela, chrześcijańskiego trójkąta ojca, matki i dziecka".

„Wakacje, które kończą się tragedją".

„Chłopcy i dziewczęta pozostawieni bez opieki" (według Degena).

W tym wieku błędnych poglądów, fałszywych sądów i przewrotnej moralności nie jest niespodzianką, że większa część obrońców wakacyj oddzielnych dla mężów i żon, przemawia także na korzyść wspólnych wakacyj dla młodych zakochanych. Sumienie publiczne uprzejmie przyzwala na zwyczaj, który nie przeszkadza Miss Seventeen (pannie siedmnastoletniej) wybrać się na dwa tygodnie z swym ulubionym chłopcem (boy) jako jej jedyną eskortą do pensjonatu, położonego nad morzem, w którym, jeżeli to możliwe, wynajmują pokoje na tem samem piętrze.

W większej części wypadków ich intencje są zupełnie uczciwe, albowiem mimo jawnego pogaństwa, które razi oczy i uszy przy każdej sposobności w nowoczesnym świecie, młodzież rzadko kiedy obwiniać można o zło premedytowane. W pełni zdrowia fizycznego i siły wierzą, że są równie silni moralnie. Oświadczają, że są zupełnie zdolni dbać o siebie i biorą za złe uwagi i rady starszych. Żyjąc sami dzień za dniem bez żadnego stałego programu określonych zajęć, dają się łatwo odurzyć duchowi, panującemu nad brzegiem morskim, duchowi rozluźnienia i pomiatania wszelkimi przepisami przyzwoitości. Właśnie w chwili, kiedy zachodzi potrzeba surowszej kontroli moralnej, zaczynają ulegać niebezpiecznym podnietom, nie rozumującemu popędowi i zanim mieli czas zdać sobie sprawę ze swego zachowania, pędzą na łeb na szyję ku rozbiciu moralnemu.

Gdyby rodzice spędzali wakacje razem i zabierali z sobą synów i córki, możnaby uniknąć niejednego z tych nieszczęść. Ale niestety mąż, który przed ślubem tak gorąco pragnął spędzić nad morzem dwa tygodnie ze swoją „girl", która jest teraz jego żoną, woli po ślubie rozłączyć się z nią w czasie wakacji. A jego żona mówi: „Two can play that game" (przysłowie: „Dwoje może grać tę samą grę") i wyjeżdża także na wakacje niezależne.

Oboje myślą, że gdyby pojechali razem, nie mieliby wiele urozmaicenia. Starają się przerwać jednostajność pożycia małżeńskiego. Każde z nich pragnie wakacyj pełnych życia, przyprawionych dreszczykiem i miłem wzruszeniem. Kiedy zaś oboje są nagle zwolnieni ze zwykłej rutyny i żeby tak powiedzieć, osiedli na mieliźnie, chociaż to rozdzielenie trwa krótko, odczuwają pewien rodzaj samotności i dlatego szukają towarzystwa przygodnych awanturników obojga płci, a których pełno po hotelach i miejscach rozrywek.

Platoniczna przyjaźń z partnerem kąpieli, przejażdżki w łódce, bridgea albo dancingu, staje się łatwo zanadto serdeczną i jak wiadomo, powstaje to, co znane jest w sądzie jako trójkąt małżeński i co prowadzi tak często do rozwodu albo morderstwa lub samobójstwa.

Obrona osobnych wakacyj dla mężów i żon jest tylko jednym z wielu symptomatów rozprzężenia moralności. Podstawy małżeństwa atakuje się na wszystkich punktach i wszelkie sposoby i praktyki, zmierzające do ich osłabienia, przyjmowane są ze zrozumiałym aplauzem. Żona oddana domowi swemu, która szczyci się tem, że nigdy nie zdjęła obrączki ślubnej, jest przedmiotem wielu tanich drwinek na scenie i na ekranie.

Jako katolicy — tak kończy ten człowiek świecki — jesteśmy obowiązani czynić wszystko, co jest w naszej mocy, aby zachować i wzmocnić węzeł małżeński i dlatego musimy opierać się z całą energją temu bzikowi mody wakacyj osobnych dla par małżeńskich, które solennie ślubowały sobie przed ołtarzem, że się nie rozłączą do śmierci. *Sz.*

Sprawy religijne.

Rozkład moralny protestantyzmu amerykańskiego. Problem religijny zaciekawia pewne koła ludności Stanów Zjednoczonych. Niema miesiąca, by jakieś towarzystwo, albo jakiś przegląd prasowy nie ogłosił ankiety o stanie sekt tego kraju. Pastorzy skarżą się publicznie na apatję swoich wiernych i na przerażający wzrost liczby protestantów, którzy nie wierzą w Boga. Niedawno grupa szczerych protestantów, świadomych istotnego stanu rzeczy i pragnących znaleźć nań lekarstwo, przeprowadziła na własną rękę ankietę i opublikowała jej rezultaty.

Z pośród 200.000 kościołów ewangelickich w Stanach Zjednoczonych, około 60 tysięcy jest „martwych", to znaczy takich, które w ciągu jednego roku nie ujawniły żadnego postępu i nie przyniosły żadnej korzyści. Z liczby tej 7 do 8 tysięcy jest zupełnie opuszczonych i zagrażających ruiną.

Przyczyną takiego zaniedbania tysięcy kościołów bynajmniej nie jest brak środków pieniężnych, ponieważ niektóre zjednoczone sekty są bogatsze od najsłynniejszych multimiljonerów. W r. 1928 zebrały one i wydały 600 miljonów dol. w samych Stanach Zjednoczonych.

Czemu więc przypisać tę obojętność mas protestanckich na sprawy religijne? Autorzy ankiety przypisują tę klęskę zbytniemu zaabsorbowaniu się ludzi kinematografem, teatrem, radjo-koncertami, automobilizmem i innemi formami rozrywek i sportu. Innemi słowy — religja protestancka ujawnia zbyt małą siłę atrakcyjną wobec swoich zwolenników. Niemałą winę tego opustoszenia świątyń ponoszą sami pastorzy. Z kazalnic mówią oni o wszystkiem, tylko nie o Bogu. Ulubionemi tematami ich kazań są problemy historyczne, literackie, polityczne, socjologiczne, ekonomiczne, a rzadko kiedy kwestja nieśmiertelności duszy lub sprawy moralności.

Smutna jest statystyka rozwodów wśród protestantów amerykańskich. W roku 1928 zarejestrowano w Stanach Zjednoczonych 182.497 małżeństw, o 18.556 mniej niż w r. 1927, a tymczasem liczba rozwodów zwiększyła się o dwa na sto. W roku tym osiągnęła ona olbrzymią cyfrę 195.939. W roku 1887 jeden rozwód przypadł na 17 małżeństw, w roku 1906 jeden na 12, a w roku 1928 jeden na 6. W tej smutnej statystyce przoduje stan

Nevada, gdzie jeden rozwód przypada na dwa małżeństwa. Walkę z tym rakiem społecznym Kościół katolicki prowadzi prawie sam jeden. Pastorzy protestanccy zamiast przeciwdziałać złemu, jeszcze je wzmagają, ponieważ udzielają małżeństw osobom rozwiedzionym i sami się rozwodzą.

Niedawno w kilku dziennikach amerykańskich zostały ogłoszone rezultaty innej ankiety o sytuacji Kościołów protestanckich w Stanach Zjednoczonych. Przeprowadziło ją w 50 miastach Unji stowarzyszenie protestanckie „Council of Church Development". Sekretarz generalny tego stowarzyszenia i inicjator ankiety, Branson, oświadczył szczerze, że sekty straciły wszelki wpływ na swych zwolenników, ponieważ nie dają im żadnej atrakcji, żadnego namacalnego zysku. Zdaniem Bransona, Kościoły ewangelickie nie odpowiadają już wymaganiom nowożytnych czasów i, jeżeli chcą żyć, muszą jak najprędzej zmienić taktykę.

A tymczasem Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych czyni stale postępy powolne, ale pewne. W czasopiśmie „Scribner's Magazine" protestant, Karol H. Perry, tę żywotność katolicyzmu tłumaczy wpływem Eucharystji św.:

„Kościoły protestanckie" — pisze on — „świecą pustkami, a tymczasem świątynie katolickie są pełne wiernych. Dzieje się to dlatego, że katolicy w świątyniach swoich znajdują Boga, a protestanci tylko kaznodziejów. Katolicy żywo odczuwają rzeczywistą, choć niewidzialną obecność Bożą. Zasada świętości u katolików, znajduje swój wyraz w Sakramencie Ołtarza. Bóg protestantów natomiast jest martwy, jak martwą jest historja starożytna, jak martwym jest każdy system, opierający się na pewnikach filozoficznych".

Nowe kanonizacje. W niedzielę 29 czerwca r. b. zaliczył Pius XI w poczet Świętych błog. Jana de Brébeuf i siedmiu jego towarzyszy Męczenników z Tow. Jez., błog. Roberta Bellarmina i błog. Teofila da Corte. Pierwsi zanieśli światło prawdziwej wiary do Kanady i na obszar dzisiejszego stanu Nowego Jorku w czasie, kiedy w Europie szalała wielka rewolucja religijna i odrywała całe narody od Kościoła, a zato otwarły się nowe ogromne horyzonty dla jego apostołów za oceanem. Kanada była kolonją francuską aż do r. 1763. Zanim w tym kraju synowie św. Ludwika stworzyli „Nową Francję", żyły tam różne plemiona dzikie, z których największym był szczep Huronów, zamieszkujący głównie część południową; drugi zaś potężny szczep Irokezów zajmował część północną dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. W roku 1608 De Champlain założył miasto Quebec, składające się początkowo z kilku chat drewnianych nad rzeką św. Wawrzyńca. W roku 1615 przybyli pierwsi misjonarze franciszkańscy w te strony, a po nich w r. 1625 trzej jezuici, a między nimi Jan de Brebeuf, wielki bohater wiary, prawdziwy atleta Chrystusowy.

Urodzony 25 marca 1593 w Conde-sur-Vire z rodziny szlacheckiej, wyjechał na misje 8 listopada 1607, a poniósł śmierć męczeńską 16 marca 1649 z ręki Irokezów. Dwanaście lat przed śmiercią zobowiązał się ślubem, że będzie czynił i cierpiał, co tylko będzie w jego mocy, z miłości i na cześć Chrystusa, któremu zrodził 7 tysięcy dusz godnych podziwienia i także męczenników. Przywiązano go do słupa, ciało jego niszczył powoli ogień, rozpalony wokoło, a nadto kaci wbijali w nie szydła rozżarzone, odcinali je kawałkami, które przysmażali nad ogniem i pożerali w jego oczach. Straszne jednak tortury nie wydarły ani jednego okrzyku boleści z piersi Męczennika, który z męstwem niezachwianem, spokojnie, głosem podniesionym przemawiał do Huronów (już lepiej usposobionych dla chrześcijaństwa) i do swych katów Irokezów, tamtym dodając otuchy, a drugim przypominając sprawiedliwość Bożą i ogień piekielny. Śmiała ta mowa i niezłomna moc jego duszy zdziwiła jego katów, ale zarazem spotęgowała jeszcze ich srogość. Czynią go więc niezdolnym do dalszego nauczania, odcinając mu wargi, język, wybijając mu zęby kijem i wtykając mu w usta węgle rozżarzone. Nadto jeszcze za poduszczeniem jednego z Huronów, odstępcy od wiary, zlewają mu głowę i ramiona wodą kipiącą, z okrzykiem szyderczym: „My cię chrzcimy, żebyś był szczęśliwy w niebie, bo bez dobrego chrztu nie można być zbawionym!" Inny zaś z dzikich dodał do tego: „Ty zawsze nauczałeś lud, że dobrze jest cierpieć; podziękuj nam więc, że ci pomagamy do upiększenia twojej korony!" Wreszcie po trzech godzinach tortury, okrutnicy, którzy zdumieni tą stałością nadludzką, odczuwali zarazem jakiś lęk przed nią, zadali mu cios ostateczny toporem, poczem rozcięli mu pierś, wydarli serce, wypili z niego krew i pożarli je, myśląc, że przez to wchłoną w siebie męstwo zamęczonego [1])

Przy boku Jana de Brebeuf oddał anielską duszę Bogu towarzysz jego młodszy (urodzony w Paryżu 19 października 1610) Gabrjel Lalemant, po kilku miesiącach pracy wśród Huronów.

Trzeci Męczennik Antoni Daniel, urodzony w Dieppe, w Normandji 27 maja 1601, wstąpił w 20 roku życia do Tow. Jez., wyrzekając się świetnej karjery adwokackiej; pracował 15 lat dla zbawienia Huronów. Zmarł, licząc lat 47. Schwytano go w kaplicy, do której schroniło się przed furją Irokezów wielu pogan. Misjonarz udzielał im chrztu, a kiedy go ktoś wzywał, żeby ratował się ucieczką, odpowiedział: „Życie moje nic nie warte, dopóki mogę jeszcze zbawić jedną duszę! Zobaczymy się dzisiaj w niebie!" Zabito go strzałem w piersi, a ciało jego spaliło się razem z kaplicą.

Czwarty Męczennik Karol Garnier, urodzony w Paryżu 25 maja 1606, wstąpił do Tow. Jez. w r. 1624. Głosił Ewangelję w Kanadzie przez lat 13 z miłością heroiczną i nie zrażając się żadnym trudem i niebezpieczeństwem. W częstych jego samotnych wędrówkach towarzyszyli mu nieraz aniołowie. Zabito go strzałami i rozcięto mu głowę siekierą.

Piąty, Natalis Chabanel, liczył około 36 lat, kiedy go Huron apostata napadł w lesie i zabił, poczem wrzucił zwłoki do rzeki. Urodził się w Mende w r. 1613, wstąpił do Jezuitów w r. 1630.

Szósty, Izak Jogues, urodził się w Orléans 10 stycznia 1607, wstąpił do Jezuitów w r. 1627. Poniósł męczeństwo dwukrotnie. Kiedy pierwszy raz wpadł w ręce Irokezów, przypiekali go ogniem, obcięli mu część palców, inne pokaleczyli i inne straszne zadawali mu tortury. Uratowany przez Holendrów, wrócił do Francji, ale po raz drugi udał się do Kanady, gdzie mu Irokezi rozcięli głowę siekierą 18 października 1646.

Towarzyszami jego w męczeństwie byli bracia, Renat Goupil, zabity w r. 1642, i Jan de la Lande, który poniósł śmierć 20 października 1646.

Dziś Kanada jest kwitnącym krajem katolickim: krew tych Męczenników stała się tam — podobnie jak w innych częściach ziemi — posiewem chrześcijan.

---

[1]) Opis tego męczeństwa, silne czyniący wrażenie, włożony jest w „Kazanie o misjach", które zamieściliśmy w „Gaz. Kośc." z r. 1925 (str. 363).

Kanonizacja błog. Roberta Bellarmina. Wielki ten pracownik na roli Bożej i obrońca nauki Kościoła urodził się 14 października 1542 r. w Montepulciano z ojca Wincentego i matki Cincji Cervini, siostry papieża Marcelego II. Od pierwszych lat życia odznaczał się nadzwyczajnymi przymiotami duszy i podziw budzącym talentem. Czując się powołanym do życia zakonnego, wstąpił, pomimo sprzeciwu ojca, do Tow. Jezusowego w 1560 r. Studjował filozofję w Kolegjum Rzymskiem i już po trzech latach wysłano go jako nauczyciela do Florencji i Mondovi. Potem uczył się jeszcze teologji w Padwie i w Lowanjum. Zanim otrzymał święcenia kapłańskie (w r. 1570), zaczął już wę Florencji, Padwie, Wenecji, a zwłaszcza w Lowanjum głosić Słowo Boże z ogromnem powodzeniem. W r. 1570 powierzono mu katedrę teologji w Lowanjum, gdzie komentował przez sześć lat Sumę św. Tomasza, zdobył sobie wielką sławę uczonego i świętego i przytłumiał w zarodku błędy Bajusa. Wykłady jego polecał sławny kardynał Commendone.

Ale dnia 1 września 1576 wezwał go generał Mercuriano do Rzymu, gdzie z polecenia Grzegorza XIII naradzano się nad wyborem najlepszych środków, którychby użyć należało dla zwalczenia zuchwałych ataków herezji. W r. 1559 zaczęły wychodzić w Bazylei osławione „Centuriae magdeburskie“, w których nagromadzono mnóstwo fałszów historycznych dla obniżenia powagi Kościoła i podkopania wiary katolickiej. Wtedy stanęli do walki z niemi zwycięskiej historyk Filipin Baronjusz i mistrz w kontrowersji Bellarmino, który przez lat 11 (od 1576—1588) bronił znakomicie z katedry naukę i działalność Kościoła przeciw błędnowiercom i wydał potem dzieło monumentalne: „Controversiae christianae fidei adversus huius temporis haereticos“ (cztery tomy). Mógł on słusznie powiedzieć o sobie: „Ea mihi provincia demandata est, ut... novos Ecclesiae milites pro mea tenuitate armarem“.

W r. 1599 zamianował pokornego zakonnika, który nie pragnął żadnych godności, Klemens VIII kardynałem, a w r. 1602 arcybiskupem w Kapui, skąd go Paweł V po czterech latach znowu powołał do Rzymu, żeby mógł ciągle zasięgać jego światłej rady. Jako biskup okazał się Bellarmino najmędrszym administratorem, odnowicielem życia kościelnego i reformatorem obyczajów swojego ludu łagodnym a zarazem stanowczym. Tępił rozpowszechniony nałóg karciarstwa, uzdrawiał życie w klasztorach, umacniał ducha kleru, wizytował corocznie swą diecezję, głosił ciągle kazania, nauczał katechizmu prostaczków i dzieci. Wtedy ułożył swój sławny katechizm, który, wydany później w 56 językach i narzeczach, był pokarmem pożywnym dla całego — można powiedzieć— Kościoła. „Odmawiał oficjum razem z kanonikami“ (jak sam pisze w swej autobiografji) w każdy dzień świąteczny (ponieważ arcybiskup w Kapui jest zarazem kanonikiem i otrzymuje wydatne dystrybucje), nietylko w czasie mszy i nieszporów, ale także na matutinum i laudes, a w dni powszednie przychodził przynajmniej na oficjum poranne, bądź dlatego, żeby kanoników pobudzać do uczestnictwa w chórze i przyzwyczajać ich do poważnej i prawidłowej psalmodji, bądź też dlatego, żeby pozyskiwać dystrybucje na korzyść ubogich, którym je rozdzielał w całości i zwykł był mawiać, że jest to jego jałmużna własna, bo zyskiwał ją własną fatygą“.

Całe życie jego było uregulowane jak najdokładniej i nigdy nie tracił ani chwili czasu. Przepisał też jako kardynał dla służby swojej regulamin ścisły, ale łagodny: wyznaczał im praktyki pobożne, wszelkie zaś wykroczenia karał wydaleniem ze służby. Sam wykładał im katechizm co tygodnia i głosił w różnych czasach stosowne nauki.

Niepodobna tu zresztą wyszczególnić prac niezliczonych, które spełniał w różnych kongregacjach. Jedynym jego wypoczynkiem był pobyt miesięczny raz na rok w ukochanym nowicjacie świętego Andrzeja „del Quirinale“; tam rozmyślał głównie o własnej duszy i napisał 6 dziełek ascetycznych, między niemi „De arte bene moriendi“.

Dnia 17 września 1621 oddał czystą duszę Bogu na modłę jak najbardziej budującą, opłakiwany przez cały Rzym, a tak ubogi, że koszta pogrzebowe musiał ponieść papież.

Beatyfikacja jego opóźniła się przez trzy wieki z przyczyn zewnętrznych. W r. 1920 stwierdził Benedykt XV jego cnoty heroiczne. Pius XI zaliczył go 13 maja 1923 do Błogosławionych, a 4 maja 1930 stwierdził dwa nowe cuda: uzdrowienie Rajmunda Agrasa i Albina Benza. (Osserv. Rom.).

Z Rzymu. Zgon kard. Wincentego Vanutellego. Najstarszy ten członek i dziekan św. Kolegjum urodził się 5 grudnia 1836 r. w Genazzano (diec. Palestryna). Wyświęcony w roku 1860, pracował w nuncjaturach w Holandji i Belgji. W roku 1882 został nuncjuszem w Lizbonie, a w roku 1889 kardynałem, w roku 1891 prefektem Kongregacji Soboru, w roku 1900 biskupem Palestryny. Zmarł 10 lipca r. b. Był ogólnie wysoko ceniony i kochany. Sympatyzował z faszyzmem. Był także szczerym przyjacielem naszego narodu. R. i. p.

Z piśmiennictwa.

Jean Cocteau: Les enfants terribles. Roman. Paris Grasset.

Jest to historyjka, nie zasługująca wcale na przeczytanie, chociaż niema w niej nic obrażającego moralność. Opowiada ona o dzieciach (chłopcu i jego siostrze), których nie miał kto wychować po przedwczesnej śmierci rodziców, które się wprawdzie kochają, ale ciągle kłócą i nawzajem dręczą. Wkońcu siostra nie dopuszcza do małżeństwa brata, powodując przez to jego samobójstwo, poczem i ona odbiera sobie życie. Są to pomysły dziwne i całkiem niepodobne do prawdy. Mnóstwo też szczegółów banalnych o strojach, sprzętach i t. d. zapełnia niepotrzebnie książkę małej zresztą objętości. *X. P*

Jacques Roujon: Le bon Monsieur Danton. Paris. Plon 1929.

Powieść ta, napisana z talentem i zajmująco, stawia nam żywo przed oczyma straszne czasy wielkiej rewolucji i jej wodzów, a zwłaszcza Dantona, który zdobył sobie smutną sławę zaciekłego wroga „tyranów“, gotowego każdej chwili na śmierć w obronie ludu, ale w całem postępowaniu jego nie było konsekwencji, ani jasnej świadomości, do czego właściwie zmierzał. Była to natura zupełnie opanowana zmysłowością i żądzą używania życia. On je dużo i pije, nie krępuje nigdy swoich popędów, nie zna żadnych praw moralnych, drwi sobie z cnoty, nie wierzy w nic, ale przed ślubem spowiada się u księdza dobrego, który nie poddał się ustawom antykościelnym. Jest przytem człowiekiem uczuciowym, kocha swą rodzinę, żonę i dzieci. Najszczęśliwszym czuje się w swojem miasteczku rodzinnem, gdzie nabył dość znaczny majątek. Nie zgadza się często ze swymi współzawodnikami na terenie „konwencji“ z Robespierrem i Maratem, z systemem teroru;

zalewa się łzami, gdy mu doniesiono o zgładzeniu „żyrondystów", ale nie może się zdobyć na stanowczą walkę z dawnym przyjacielem Robespierrem i jego partją. Lęka się tej walki już dlatego, że pozwalał swym przyjaciołom bogacić się kosztem republiki i sam nie miał w tym względzie żadnych skrupułów. Wreszcie stawiony przed sądem rewolucyjnym i skazany na śmierć, kładzie głowę pod gilotynę z rozpaczą w sercu, ale pocieszając się nadzieją (która ziściła się wkrótce), że ten sam los spotka i Robespierra. *X. A. P.*

Horatius M. Prémoli Barnabite: Histoire de l'Eglise contemporaine (1900—1925). Traduit de l'Italien par le Rev. P. Louis Declareq du meme Ordre. Turin-Roma. Firma Marietti... 1930. Str. XII + 546 + 2 nieliczb.

Przed paru miesiącami wyszło tłumaczenie francuskie dzieła barnabity rzymskiego, O. Premolego, w którem autor zawarł zarys dziejów Kościoła katolickiego w I ćwierci XX wieku. Tego rodzaju prace niechybnie są potrzebne i pożyteczne, gdyż podają na sposób kronikarski, nie mając pretensji do wykończonej metodycznie roboty historycznej, pewien całokształt wypadków świeżo ubiegłych dni. Czytając je, przypominamy sobie o takich wydarzeniach, o których wiadomości zaczerpnięte z prasy codziennej i perjodycznej, uległy u nas pewnemu rozproszkowaniu. W tem znaczeniu cieszą się poczytnością i uznaniem wydawnictwa w rodzaju naszych „Roczników Katolickich", wydawanych przez X. N. Cieszyńskiego. Jeżeli jednak tego rodzaju zarys kronikarski obejmuje większą ilość lat, jak w danym wypadku całe ćwierćwiecze, to pragnęłoby się, aby przynajmniej niektóre zagadnienia, odleglejsze i już zakończone (jak dajmy na to dzieje rozdziału Kościoła od państwa we Francji), zostały omówione w sposób bardziej krytyczny i naukowy.

Tymczasem O. Prémoli zadowolił się tem, że, nie wydając o żadnym niemal z omawianych przez siebie faktów swego krytycznego zdania o przyczynach, skutkach, związku pragmatycznym wydarzeń i t. p., zupełnie po kronikarsku opisał wszystkie ważniejsze wypadki, jakie zdarzyły się tak w życiu całego Kościoła, jak i w poszczególnych państwach w latach od 1900 r. do 1925.

Zacząwszy od ogólnego rzutu oka na stosunki ogólno-kościelne na przełomie dwóch stuleci, podał najpierw dzieje ostatnich lat pontyfikatu Leona XIII, potem pokrótce opisał rządy Piusa X i Benedykta XV, a obszerniej nieco działalność pierwszych trzech lat (1922—1925) panowania Piusa XI.

W dalszej części swego dzieła opisuje punkt za punktem wszystko, co się zdarzyło w poszczególnych państwach i krajach, przyczem nie opuszcza nawet tak drobnych ugrupowań katolickich, jak w protestanckiej Estonji i Finlandji, albo poszczególnych kolonij afrykańskich i małych republik Ameryki środkowej. Rozmiary tych opracowań są niejednolite. Wybitnie obszerniej (na czterdziestu przeszło stronicach: od 96 do 138) omówione zostały dzieje religijne we Włoszech, poza tem poszczególne kraje otrzymały po kilkanaście do kilku, lub nawet dwóch stron. To objęcie całości terytorjalnej Kościoła uważać należy za największą zaletę książki Premolego, następnie zaś przyznać mu trzeba, że starał się być ścisły i dokładny w podawaniu wiadomości. Np. nie spotykamy prawie błędów w nazwiskach.

Do usterek natomiast zaliczyć wypadnie najpierw wyżej wspomniany brak krytycyzmu w ocenie faktów, co powoduje wrażenie, że autor nie działał jako bezstronny historyk, lecz raczej jako dziejopis, podający fakta w oświetleniu nastawionem urzędowo zgóry. Druga wada wynika ze ściśle określonego okresu opisywanych wydarzeń (1900—1925). Np. przy czytaniu rozdziału o sprawach kościelnych we Włoszech otrzymuje się wrażenie czegoś niewykończonego, ponieważ ten okres kończy się pod względem historycznym aktem lateraneńskim, a tego Autor już nie uwzględnił, gdyż to wykracza poza rok 1925. Wreszcie wiadomości o niektórych zwłaszcza krajach są zbyt skąpe i nierównomierne, co zresztą tłumaczy się poniekąd brakiem dostatecznych materjałów. Do takich upośledzonych części dzieła zaliczyć należy i Polskę. O latach przed wybuchem wojny światowej otrzymujemy tylko parę urywkowych wiadomości w ustępie, poświęconym Rosji (na str. 282—293). Rozdziałek, poświęcony Polsce, krótki (str. 299—306), napisany w tonie przyjaznym dla nas, zawiera zbiór najważniejszych wiadomości o sprawach kościelnych w odrodzonej ojczyźnie. Wydaje nam się, że w nieco przesadnych barwach przedstawił autor rozwój sekciarstwa w Polsce (str. 303—304), poza tem bardzo niejednolite podaje wiadomości. Np. o organizacjach katolickich, które już i przed r. 1925 zaczęły owocną swą działalność w Polsce, nic nie mówi, natomiast blisko całą stronę poświęca dowodzeniu, że prez. Wojciechowski był dobrym katolikiem. O stosunkach religijnych w byłych zaborach pruskim i austrjackim nic się z książki O. Premolego dowiedzieć nie można.

Mimo tych jednak usterek, dzieło to nazwać należy pożytecznem, bo zapełnia pewną lukę w wiadomościach, jakie posiadamy. Ale wspomniane tu braki przekonywają nas, że tego rodzaju publikacje muszą być bardzo starannie i dokładnie opracowywane, przy współudziale większej ilości ludzi, znających dokładnie poszczególne tereny. Sam O Premoli przy najlepszych zamiarach i przy ogromnej ilości włożonej pracy, nie mógł dać nic więcej, jak tylko zarys niejednolity i niezupełny. *X. H. C.*

„Heilige Saat", Predigtskizzen, III. Band: Vom Pfingsfeste bis 12. Sonntag nach Pfingsten, herausgegeben von Dr. Nikolaus Gengler, Pustet, Regensburg, 1930, stron 381, format 24 × 16½. Cena zł. 16·40 brosz. kart.

Bardzo trudno o dobre kazania, a przedewszystkiem o takie, z których naprawdę możnaby korzystać, które dawałyby inicjatywę realną Dziś zwłaszcza, gdy tyle aktualnych a trudnych tematów ciśnie się w orbitę ambony, trzeba się oglądać za tem, co w swem znakomitem dziełku[1]) nazywa O. K. Plus „realnem" kaznodziejstwem.

Potrzebie tej dobrze n. zd. odpowiedzieli współpracownicy dzieła p. t. „Heilige Saat", którego III tom, związany z obecnym okresem roku kościelnego, ukazał się w ostatnich dniach czerwca b. r. Tom ten opracowali: Gengler, Burger, Obendorfer i Wolpert. Obejmuje on około 120 tematów, związanych z niedzielami wskazanemi w tytule, świętem Najśw. Serca Pana Jezusa, św. Piotra i Pawła, Wniebowzięcia N. P. M. i „Świętem Młodzieży" (Jugendsonntag"). Na każdą niedzielę i na każde święto jest opracowanych kilka tematów przez różnych autorów tego dzieła. Nie podają oni jednak gotowych kazań (tendencyjnie), tylko szkice, a czasem tylko materjał, przykłady. Tego rodzaju forma podręcznika pobudza do samodzielnego opracowania kazania i bardzo zasługuje na uznanie.

Czcigodni Konfratrzy, zwłaszcza p r a c u j ą c y w m i a s t a c h, z dużym pożytkiem mogą korzystać z tych szkiców. *X. H. Weryński.*

[1]) Kaznodziejstwo „realne" i „nierealne" — Kraków 1930. Księg. M. Łubieńskiej.

Roland Dorgelès: Saint Magloire. Roman. Paris. Albin Michel, Editeur.

Dorgelès należy do pokolenia autorów powojennych. Ci młodzi ludzie przeżywali całą wojnę w zetknięciu ze straszną rzeczywistością, którą stawia przed oczyma wojna, żyli w tej epopei wojennej. Jeden z najlepszych romansów Dorgelèsa „Les Croix de bois" (Drewniane krzyże) jest tragiczny w swym realizmie. W każdej linji prawie zadziwia rzeczywistość przeżyta. Autor uważa za swoje zadanie wyrazić tę rzeczywistość z prostotą, umiarkowaniem, z wyrazem czysto ludzkim. Drugi romans „Saint Magloire" najlepiej oddaje myśl autora i przynosi nową ewangelję miłości, ale nasiąkniętą Tołstojem.

Magloire Dubourg przybywa do Francji po czterdziestoletnim pobycie wśród murzynów Afryki. Postać jego otacza fantastyczna legenda, przedstawiająca go jako cudotwórcę, nadczłowieka, ostatniego posłannika Boga. W rzeczywistości jest to dziwna osobistość, rodzaj misjonarza świeckiego, który niestrudzony przebywał najdziksze okolice Afryki, ratując białych z rąk czarnych, pielęgnując chorych, godząc powaśnionych wodzów, lecząc często cudownie — stąd przydomek „święty" i niesłychane historje, które krążyły o nim wśród murzynów i kolonistów. Poprzedzony taką sławą, stanął wreszcie na ziemi francuskiej. W Marsylji tłumy oczekiwały na jego przybycie, nie odstępowały go, towarzyszyły mu do Barlincourt, gdzie mieszkał brat jego, literat. Poetycznie i nastrojowo maluje Dorgelès małą posiadłość Franciszka Dubourg z uroczą willą, o której mówiono: „to dom szczęścia", atmosferę miłości rodzinnej, spokoju i dobrobytu. Cała rodzina czuje się szczęśliwą i dumną z przybycia tak dostojnego gościa. W ślad za „świętym" nadciągają recenzenci rozlicznych gazet, ciekawi, żądni czegoś nadzwyczajnego; dalej pielgrzymi, żebracy, kaleki, chorzy. Wszyscy czekają na cud — chcą cudu.

Magloire czuje się zakłopotany przesadnemi oznakami czci, natręctwem gości i ciekawego tłumu. Dziennikarzom oświadcza, że przybył do Europy, aby mówić o Bogu, przypomnieć, że Chrystus wyciąga ramiona do wszystkich, wołając: „Kochajcie się!" Te cudowne słowa Jezusa potępiają egoizm, zazdrość, a głoszą sprawiedliwość i miłość. „Prawa ludzkie, wspierające się na strachu i zemście, powodują nędzę i trupy. Niech więc zginie to społeczeństwo, zbudowane na głupocie, egoizmie i nienawiści. Bóg chce wrócić do swego królestwa. Tylko Bóg może zbawić ten świat, który tarzał się we krwi przez pięć lat wojny, a podniósł się tak chwiejny". Dziennikarze odnoszą wrażenie, że Magloire Dubourg jest posłannikiem Boga, że przybywa zreformować świat. Wszystkie gazety podają jego podobiznę, drukują artykuły pełne admiracji.

A tymczasem tłum rośnie — niecierpliwi się. Wtedy Magloire rzuca im ostre słowa, że więcej trzeba dbać o duszę niż o ciało — niech się rozejdą i wracają do pracy! Rozchodzą się zwolna zniechęceni. Naraz rozszerza się wieść o cudownem wyleczeniu dziecka; wracają, wznosząc okrzyki na cześć świętego. Z Paryża nadchodzą pociągi przepełnione. Fala ludzka zalewa Barlincourt — wszyscy chcą pierwsi stanąć na tej ziemi wybranej, goszczącej świętego, chcą go oglądać bezzwłocznie. Magloire przemawia odtąd często do gromadzących się ciągle tłumów, wygłasza swe poglądy o reinkarnacji dusz; źle zrozumiany przez nieokrzesanych wywołuje nieuzasadnione nadzieje, pragnienia, to znów przeraża ich swą namiętną wiarą, tak, że cofają się pełni lęku.

Te publiczne wystąpienia Magloirea zmuszają duchowieństwo do zastanowienia się nad jego wywodami; radzą mu udać się do domu wypoczynkowego, a wkońcu zarzucają mu herezję. A gdy niedługo potem Magloire zjawia się niespodzianie w Izbie Deputowanych, gdzie odbywają się burzliwe narady nad tem, czy wskutek buntu czarnych w Kongo ma przyjść do skutku ekspedycja kolonjalna, gdy gwałtownie występuje przeciw nowej wojnie, gdy łży rząd i prezydenta — wywołuje niebywały skandal — tak, że straż usuwa go z sali posiedzeń.

Franciszek Dubourg z przerażeniem dowiaduje się o tem niefortunnem wystąpieniu brata i rozgoryczony widzi w tem koniec swej karjery: miał otrzymać krzyż oficerski. Z upadkiem Magloirea łączą się wszystkie nieszczęścia, spadające teraz na całą rodzinę Dubourg. Przemówienia „świętego", pełne wywodów filozoficznych, powodują zamieszanie, nieporozumienia, doprowadzają wkońcu do bezrobocia. Magloire posądzony o popieranie strajku z powodu opieki, jaką roztacza nad strajkującymi i o wzięcie w obronę mordercy, traci do reszty dobrą sławę. Egzaltacja tłumu ustaje — wzrastająca wciąż niechęć zamienia się wkońcu w ogólną pogardę. Niezrozumianego i wzgardzonego opuszczają dawni stronnicy — otacza go już tylko zgraja dziwaczna i po części śmieszna.

W romansie tym napotykamy ustępy o sile nadzwyczajnej. Do takich należy opis strajku, wstrząsające wyrzuty, jakie czyni Gerard „świętemu" z powodu nieszczęść, jakie z jego winy spadły na dom ojca. „Byliśmy tak szczęśliwi przed twem przybyciem" — woła Gerard — „nie masz nawet pojęcia, jak byliśmy szczęśliwi. Teraz to się skończyło — nigdy już więcej... Nigdy nie płakałem przedtem, zanim cię poznałem — był dom szczęścia tutaj. Przybyłeś po to, aby wszystko zniszczyć!" Z sercem, ściśnionem żalem, spogląda Magloire na ten dom opuszczony — czuje się odpowiedzialnym za wszystkie łzy, cierpienia, nieszczęścia... „Dlaczego się tak stało, jeżeli hasłem jego była tylko miłość i przebaczenie?" Stanął w zadumie, przyglądając się swemu cieniowi. „Jak można przypuszczać, że się przewróci porządek na ziemi, jeżeli własny cień zajmuje tak mało miejsca?"

Nie cały rok upłynął od przybycia Magloirea do ojczyzny. Przyjazdowi jego towarzyszyły okrzyki i oklaski — odjazd jego przeszedł całkiem niepostrzeżenie. Przybywał, mniemając, że jest powołany do odnowienia, do odrodzenia świata — zostawił za sobą istnienia zniszczone — cierpienia, smutek, żałobę. *Z. Sz.*

Złota książeczka o praktyce pokory. Przełożył z francuskiego X. Hube, dr. św. Teologji ze Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. Do nabycia w wydawn. XX. Zmartychwstańców w Krakowie, Łobzowska 10.

Wobec świata pogańskiego, który nie znał ani pokory ani prawdziwej miłości, stanął Pan Jezus, mówiąc słowami i czynem „uczcie się odemnie, iżem jest cichy i pokornego serca". Pczeczywiście od przyjścia na świat w pokorze Chrystusa Pana, świat nauczył się cenić i szanować wzgardzoną przedtem pokorę. Broszurka niniejsza idzie dalej, bo nietylko uwielbia cnotę pokory, ale za Jezusem idąc, wskazuje jak w życiu praktycznem ją zastosować. Jest to prawdziwie złota książeczka wchodząca we wszystkie kryjówki, w których powołani jesteśmy do praktyki pokory i do przezwyciężenia pychy, zakradającej się w naszem życiu do wszystkich szczegółów tego życia. Autor czyni to z taką prostotą i taką prawdą, że woła do każdego, aby w praktyce zastosował naukę Chrystusa cichego i pokornego sercem. *X.*

X. dr. Jan Ciemniewski: Etyka katolicka. Podręcznik do szkół średnich. Lwów—Warszawa 1930 (stron 142 w 8-ce Książnica—Atlas).

Moglibyśmy tu powtórzyć słowa, któremi zaczęliśmy w nrze poprzednim ocenę książki X. dra Szymeczki, że mnoży się u nas liczba podręczników do nauki religji, że jednak przykre jest zadanie recenzenta, który porównując nowe z wydanemi poprzednio, nie może ich uznać za lepsze.

X. Ciemniewski, długoletni katecheta gimnazjalny we Lwowie i autor dość znacznej liczby książek i rozpraw (które oceniliśmy w swoim czasie w „Mies. Katech." i „Gaz. Kośc."), zadał sobie dużo pracy, żeby napisać podręcznik, któryby zawierał coś nowego i przewyższył w czemś swoich poprzedników. Może też rzeczywiście ten będzie pod pewnym względem podobał się niektórym katechetom więcej, np. dlatego, że jest krótszy i łatwiejszy niż książki Szczeklika i Lubelskiego. Nie możemy tu porównywać całej osnowy tego podręcznika z innymi; stwierdzamy tylko, że są w nim rozdziały, które n. zd. mogą przynieść wiele pożytku, jak np. o socjalizmie (str. 429), o prawie własności (str. 135 nn. — tu przytoczone są ustępy z encykliki „Rerum novarum") i t. d. Ale niektóre definicje nie są tak dobre, jak u Szczeklika i Lubelskiego.

I tak niejasne są słowa na str. 60 n.: „Cycero pierwszy zwrócił uwagę na usposobienie przy definicji cnoty i nazwał ją usposobieniem duszy stałem i odpowiedniem „affectio animi constans conveniensque". I słusznie, afekt bowiem odgrywa olbrzymią rolę w życiu człowieka" i t. d. „O ile afekty są miarkowane rozumem, o tyle są dobre i zczasem stają się cnotami" i t .d. „Affectio" i „afekt" są to rzeczy całkiem różne. Cóż np. cnota sprawiedliwości ma wspólnego z afektem czyli uczuciem? Z afektu **n i e** powstaje cnota, która polega na stałem usposobieniu duszy i gotowości do dobrych uczynków (Szczeklik str. 47, Lubelski str. 37), bez względu na budzące się w nas uczucia.

Autor poleca w kilku miejscach swoją książkę p. n. „Poznanie i kształcenie charakteru" (str. 8, 22, 24, 92 i t. d.) jako „lekturę pomocniczą", co uważam za niewłaściwe, bo gdyby katecheta chciał egzaminować z tej lektury, musieliby rodzice, którzy i tak muszą dziś aż nadto wiele kupować książek szkolnych, wydać jeszcze i na tę kilka złotych. Obok tej książki wymieniony jest jeszcze szereg innych jako „lektura pomocnicza" lub „obowiązkowa". W szczególności żąda się od uczniów czytania rozdziałów z Pisma św. Now. Zak. (np. str. 80 i 81) i ze Starego (str. 37). Wiemy zaś, że mamy teraz tylko jedno wydanie polskie aprobowane Pisma św. Star. Zak. w czterech tomach, z których każdy kosztuje około 15 złotych (nieoprawny). Uważam więc wymagania te za nie liczące się z naszymi stosunkami. *X. A. P.*

François Mauriac: Le Baiser au Lépreux. Paris. Bernard Grasset.

Franços Mauriac, wybitny autor katolicki, jest romansopisarzem „życia sekretnego" (życia duszy, serca). Umie się wczuwać w najgłębsze tajniki uczuć ludzkich, w smutek, żal, pokusę, wyrzuty sumienia. W „Pocałunku trędowatego" i w „Rodzicielce" bada po mistrzowsku tę głębię dusz egzaltowanych, okrutnych, pałających żądzą, przetrząsa sumienie, analizuje pokusę z zadziwiającą trafnością. Romanse te odznaczają się prostotą i miarą — ale także tajemniczością, patetycznością, wzruszają do łez i pobudzają do myślenia.

Le Baiser au Lepreux. Jean Peloueyre, syn bogatego Jerome'a mały, brzydki, chorowity, nienawidzi sam siebie z powodu swej brzydoty. Matka, suchotnica, odumarła go wcześnie — nie zaznał więc miłości macierzyńskiej. Ojciec dziwak, zajęty sobą, kocha go jako cierpiące odbicie siebie samego. W kolegjum koledzy i nauczyciele nie rozumieją jego spojrzenia spragnionego sympatji i przyjaźni. Wcześnie zrozumiał pustkę swego życia: nikt go nie kocha. Smutny, samotny zwraca się do wiary. Spostrzega nagle, że religja jest dla niego jedyną ucieczką i niestrudzoną pocieszycielką. „Ktoś na ołtarzu zajął miejsce przyjaciół, których nie miał, a Dziewica wzbudziła w nim to uwielbienie, które byłby odczuwał dla swej matki rodzonej. Wszystkie zwierzenia, które musiał tłumić w sobie, znajdowały upust w konfesjonale albo w cichych modlitwach o zmierzchu".

Prawdziwy dramat w życiu tego brzydala „tego trędowatego" rozpoczyna się, gdy ulegając woli ojca, poślubia piękną i dobrą Noemi. Ojciec pragnie tego związku ze względów majątkowych, aby fortuna jego nie przeszła w ręce rodziny Cazenave. Siostra bogatego Jerome Felicyta Cazenave i jej syn Ferdynand, to główni aktorzy drugiego romansu „Genitrix". Z przerażeniem patrzy Noemi na tego jej przeznaczonego męża i na swe smutne życie. Ale rodzina jej twierdzi, że nie odrzuca się takiej partji.

Wszedłszy w rodzinę Peloueyre, Noemi z całem zaparciem się siebie zajmuje się domem, pielęgnuje ojca troskliwie, dla męża stara się być dobrą — niestety wstrętu do niego opanować nie jest zdolną. Z rozpaczą widzi Jan, że obecność jego jest dla niej zabójczą — wyjeżdża więc na jakiś czas, a wkońcu postanawia usunąć się zupełnie. Pielęgnując w tajemnicy przed Noemi chorego na gruźlicę przyjaciela, zaraża się i umiera z tem przeświadczeniem, że uwalnia Noemi od ciążących jej obowiązków żony. Ona spragniona miłości pokochała Jana — on, umierając, dziękuje Stwórcy za tę miłość. Po jego śmierci Noemi walczy z nadarzającą się pokusą — pozostaje mu jednak wierną — przykładną wdową. *Sz.*

„Msza wspólna" w dniu św. Stanisława Kostki. Poznań 1929. Nakład: Zjednocznie Młodzieży Polskiej. Skład główny: Sp. Akc. „Ostoja" Księgarnia i Drukarnia w Poznaniu. Cena 1 egz. 40 gr., przy odbiorze od 30 egz. po 30 gr.

„Msza wspólna" jest nowością wśród polskich wydawnictw religijnych. Jest to bowiem podręcznik, na podstawie którego zorganizować będzie można po kościołach znaną już powszechnie zagranicą mszę św. recytowaną. Teksty liturgiczne mszy przetłumaczone są na język polski, odmawia je częściowo przewodnik a częściowo chór wiernych. W ten sposób uczestniczenie wiernych we mszy św. jest bez porównania ściślejsze i owocniejsze.

Dotychczas u nas tych mszy recytowanych nie urządzano, jednak obecnie ze względu na duże ożywienie ruchu liturgicznego w Polsce, broszurka jest nadzwyczaj aktualną i pożyteczną. Ponieważ przeznaczona jest specjalnie na uroczystość św. Stanisława Kostki, więc korzystać będą z niej mogły szersze rzesze młodzieży szkolnej i pozaszkolnej, które w tym dniu obchodzą swoje „Święto Młodzieży". Duchowieństwo parafjalne i pracownicy społeczni wśród młodzieży winni na to wydawnictwo zwrócić szcze-

golną uwagę. Opracowana ona została przy znanego liturgistę X. Profesora Tomanka. *X.*

Felicja Żurowska: „Królewicz umiera". Teatr dla młodzieży męskiej nr. 34. Poznań 1929. Nakład: Zjednoczenie Młodzieży Polskiej. Skład główny: Sp. Akc. „Ostoja" Księgarnia i Drukarnia w Poznaniu. Cena zł. 2'40.

Sztuka „Królewicz umiera" rozgrywa się za czasów jagiellońskich. Bohaterem rzeczywistym jest św. Kazimierz Jagiellończyk, który wśród hucznego dworu królewskiego prowadzi życie bohaterskiego ascety. Niezrozumiany za życia, wywiera jednak wpływ niezatarty, dzięki któremu zyskuje dla Boga najtwardsze nieraz dusze swych rówieśników. Sztuka posiada interesującą fabułę, na której tle uwypukla się postać świętego Patrona młodzieży polskiej w sposób prawdziwie życiowy. Praktyczne uwagi techniczne co do strojów i dekoracyj opracowane zostały przez prof. Stefana Kołomłockiego. *X.*

Stefanja Bojarska: Hodujmy Pszczoły. Księgarnia Kroniki Rodzinnej. Warszawa 1929. Str. 58.

W „Bibljotece praktycznej" wydawanej nakładem księgarni „Kroniki Rodzinnej" ukazała się pożyteczna książka propagandowa w opracowaniu Stefanji Bojarskiej p. t. „Hodujmy pszczoły". Autorka, znana działaczka oświatowa na terenie naszych wsi i osad, występuje jako gorąca rzeczniczka wzmożenia w Polsce hodowli pszczół, a trzeba przyznać, że argumentuje w sposób przekonywający. Na treść zajmującej i zasługującej na szerokie rozpowszechnienie broszury złożyły się rozdziały następujące: Co o życiu i hodowli pszczół wiedzieć powinien hodowca. — Jak hodować pszczoły. — Roboty sezonowe w pasiece. — Znaczenie organizacji dla pszczelarzy. — Pożytek wieloraki z miodu.

Broszura „Hodujmy pszczoły" nadaje się szczególniej dla właścicieli mniejszych posiadłości wiejskich i początkujących hodowców.

X. J. Makłowicz: Oszczędności. Nakładem autora. Poznań 1929, str. 36.

Główną przyczyną dzisiejszej ciasnoty pieniężnej w Polsce jest niedostateczna kapitalizacja wewnętrzna. Tem więcej potrzebna jest u nas propaganda oszczędnościowa. Powyżej wspomniana broszura ułatwia tę propagandę, w szkołach zwłaszcza i stowarzyszeniach. Zawiera bowiem wykład obszerny o kwestji oszczędności, przemówienie do młodzieży, deklamacje, śpiewy, żywe obrazy. Materjał to obfity na coroczne obchody „dnia oszczędności". *X*

Nekrologja.

Ś. p. X. Józef Wątorek.

Przed kilku tygodniami straciła znów diecezja tarnowska kapłana bardzo zasłużonego, długoletniego katechetę, a w ostatnim czasie dyrektora zakładu prywatnego w Tarnowie. X. Józef Wątorek urodził się w r. 1864 w Stróży. Wyświęcony w r. 1888, pracował najpierw jako wikary, a potem jako katecheta gimnazjalny w Tarnowie, gdzie odznaczał się sumiennością i gorliwością w wypełnianiu swych obowiązków i był kochany przez całą młodzież i współbraci kapłanów. Wydał także kilka zbiorów egzort i nauk. W r. 1912 otrzymał od Wydziału Związku Katechetów we Lwowie nagrodę za swoje „Egzorty niedzielne i świąteczne do młodzieży szkolnej" (Tarnów 1912, stron 255), które oceniliśmy pochlebnie w „Mies. Kat. i Wych" z tego samego roku na str. 468 n. W r. 1913 wydał tamże „Nauki majowe" (stron 209), które dostarczają dużo dobrych myśli do egzort i innych utworów homiletycznych, chociaż trzeba im było wytknąć pewne strony słabe (p. „Mies. Kat. i Wych." z r. 1913, str. 327). Miał on zbyt wielkie upodobanie w wyrażeniach poetycznych i kwiecistych i nie zawsze zwracał dość uwagi na związek myśli. Jako katecheta w Tarnowie pozyskał dla wiary prawdziwej dwóch uczniów Żydów, bardzo inteligentnych i dobrych młodzieńców, którzy przyjęli chrzest we Lwowie, a przypuszczamy, że takich nawróceń dokonał więcej z pomocą Bożą i że za to i całą działalność swoją otrzyma zasłużoną nagrodę! R. i. p. *X. A. P.*

Na fundusz prasowy „Gazety Kościelnej" przysłał O. Wiktor 20 zł.

Zaproszenie.

Walne Zebranie „Towarzystwa Dom XX. Polskich w Truskawcu" odbędzie się w Truskawcu w wielkiej sali Hospicjum dnia 5 sierpnia 1930 r. o godz. 14 z następującym porządkiem dziennym:

1. Odczytanie protokołu z ostatniego Walnego Zebrania.
2. Sprawozdanie Dyrekcji z działalności za rok administracyjny 1929 oraz dodatkowe za rok bieżący do 5 sierpnia.
3. Sprawy związane z przynależnością Towarzystwa do Związku Rewizyjnego Stowarzyszeń Zarobkowych i Gospodarczych we Lwowie.
4. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej.
5. Absolutorjum Dyrekcji.
6. Wybór Nowej Rady Nadzorczej.
7. Wybór Komisji Rewizyjnej.
8. Wnioski.

W razie braku kompletu następne Walne Zebranie odbędzie się w tym samym dniu o godz. 15 bez względu na ilość członków.

Zrana o godz. 8 nabożeństwo żałobne za zmarłych członków Towarzystwa, o godzinie zaś 11 posiedzenie Rady Nadzorczej.

2—2 Prezes: *X. Kazimierz Dziurzyński.*

Ołtarze, tabernakula, ambony, chrzcielnice,

konfesjonały, stalle, ławki kościelne i kolatorskie, odnowienia i konserwację starych ołtarzy, wykonuje z pełna fachową i artystyczną znajomością rzeczy znana z solidności firma 30 -

JANA WOJTOWICZA W PRZEMYŚLANACH.

Zamowienia wykonuje z doborowego materjału artystycznie, solidnie, z wieloletnią gwarancją po cenach przystępnych. — Spłaty możliwe. — Plany projektuje we wszystkich żądanych stylach od najbogatszych do najskromniejszych.

UWAGA! Cenę podaję wówczas, gdy otrzymam szkic lub wymiar miejsca na ołtarze etc., jaki styl, bogaty czy skromny, materjał.

Tow. „Bibljoteka Religijna“

Lwów, ul. Rutowskiego 5

poleca niektóre ze swych wydawnictw:

Bielawski X. Dr.: Dzieje biblijne Starego i Nowego Testamentu. — Podręcznik szkolny, dozwolony rozp. Min. W. R. i O. P. z dnia 12 maja 1929 Nr. II. 4015/29. — Cena 3 zł., kart. 3.50.

Bielawski X. Dr.: Nauka religji dla niższych oddziałów szkół powsz. — Podręcznik dozwolony rozp. Min. W. R. i O. P. z dnia 1 maja 1928, Nr. 15735/27. Cena 1.60 zł., kart. 2 zł.

Bielawski X. Dr.: Mszalik dla dziatwy w II—V kl. szk. powsz. — Brosz. 90 gr., całe płótno 1.40 zł.

Błotnicki X.: Kwiaty przydrożne (poezje) 30 gr.

Cząstka X.: Wiara w Boga i czyn z wiary. — Opowiadania katechizmowe z przykładami. Cz. I 3.20 zł., II 4.50 zł.

Ehrenborg X.: Ku szczytom kapłaństwa Chrystusowego. Cena 5.50 zł.

Historja biblijna w krótkości opowiedziana 1.20 zł.

Króliński Kaz.: Głód ziemi (powieść). Cena 80 gr.

Loyola M. S.: Jezus z Nazaretu. Z ilustracjami i mapą Palestyny (dla starszych dzieci). Cena 4.80 zł.

Skrudlik M. Dr.: Królowa Korony Polskiej. — Szkice z historji malarstwa i kultu Bogarodzicy w Polsce. 109 ilustracyj. Cena 12.50 zł.

Wais Kaz. X. Dr.: Bóg, Jego istota i istnienie. 6 zł.

Na żądanie katalogi nakładowe darmo.

Ekspedycja odwrotna.

Ważne dla kościołów!

Ze starych ornatów pluszowych powstają nowe przez **wytłaczanie** na nich odpowiednich deseni jedynie we firmie:

M. Wolańska —16

Lwów, Sobieskiego 12. Tel. 17-04.

Pateny do Komunji św.

w myśl zarządzenia Kongregacji Sakramentów z dnia 26 marca 1929 r., zaopatrzone dwoma uszkami

1) **metalowe złocone po 14 zł., 18 zł.**
2) **srebrne złocone po 45 zł.**

do nabycia w TOW. BIBLJOTEKA RELIGIJNA Lwów, Rutowskiego 5.

WINA MSZALNE

węgierskie, francuskie, austrjackie i inne

30— poleca

zaprzysiężony dostawca win mszalnych

EDMUND RIEDL

Lwów — ul. Rutowskiego l. 3.

Na składzie świece kościelne i kadziło.



4— Rok założenia 1896.

BRONISŁAW

MARKIEWICZ

Lwów, Szeptyckich 6

wykonuje nowe organy, przyjmuje wszelkie roboty w zakres wchodzące: strojenia, rekonstrukcje organów i fisharmonij, przerabianie mechanizmu z bocznej gry do frontowych Konzoli (twarzą do ołtarza), dorabianie frontowych piszczałek po cenach i na warunkach najprzystępniejszych.

„Głos Eucharystyczny“

miesięcznik poświęcony czci Przen. Sakramentu.

Ze względu na swą treść nadaje się do szerokiego rozpowszechnienia między ludem. — Na żądanie posyłamy okazowy numer i prosimy o prenumerowanie i propagowanie.

Całoroczna prenumerata 3 zł.

Redakcja i Administracja: Lwów, Ormiańska 13.

HARMONJĘ nożną 3 i pół głosową na 15 registrów, dużą, ze silnym tonem, nadającą się do kościoła lub gry koncertowej, niedrogo sprzeda skład fortepianów Hanaka, Lwów, Piłudskiego l. 21, pierwsze piętro. 3—3

ARTYSTKA-MALARKA Stefanja KANIAKOWA wykonuje obrazy treści religijnej po cenach przystępnych — Jarosław, ul. Grunwaldzka l. 7 (woj. lwowskie). 7—10

MŁODZIEŃCÓW od lat 14 do 18, którzy chcą wstąpić do stanu duchownego, przyjmuje Małe Seminarjum Duchowne XX. Salezjanów w Daszawie i Lądzie. Zgłoszenia należy wnieść do 1 sierpnia b. r. pod następującym adresem: 1. Dyrekcja Małego Semin. Duchownego XX. Salezjanów w Daszawie, p. Chodowice, Woj. stanisławowskie. 2. Dyrekcja Małego Semin. Duchownego XX. Salezjanów w Lądzie, p. Słupce, Woj. łódzkie. 2—2

PRZYJĄŁBYM chętnie obowiązki gospodarza na większem probostwie. Praktykę rolną mam dobrą. Ilość morgów pola i warunki utrzymania proszę przesłać pod adresem: Urząd parafjalny Wrzawy p. Nadbrzezie woj. Lwowskie.

Wydawca: Tow. „Bibljoteka Religijna“. Odpow. redaktor: X. Dr. Pechnik

Z drukarni Tow. „Bibljoteka Religijna“ pod zarządem Jana Przyszlaka — Lwów, Ormiańska 13. Tel. 24-61.